





Wieś i Dwór







Największa Fabryka Gorsetów

„AURELJA"

Pierwszej w Kraju
Mistrzyni Akademji Paryskiej

MAGAZYNY: Chmielna 29 (tel. 72-62),
Marszałkowska 115 (tel. 53-07),
Elektoralna 47 (tel. 81-51).

Gorset „SPECIALITE"

Ze wszech miar jest pożądanem, **ażeby gorset nie krępował ciała** i był niewidocznym w noszeniu. Gorset obecnie jest bardzo ważnym pośrednikiem w toalecie damskiej, ponieważ suknie dzisiejsze wymagają go bezwarunkowo. Musi on jednak być takim, ażeby nie krępował ciała i powabnych ruchów figury.

Ten efekt jest osiągnięty w nowych modelach „SPECIALITE", które nadają noszącym wyraz naturalnej powabności i spokoju ruchu, pozwalając muskułom znajdującym się powyżej i poniżej talji pracować niezależnie jeden od drugiego.

Gorsety „SPECIALITE" nie są droższe od jakiegokolwiek gorsetu **dobrego** przytem mają niezrównany krój, a także są naciągane **prawdziwemi** fiszbinami, co znaczy, że zachowują pierwotny kształt aż do ich zniszczenia, a to przekonywa, że **są najtańszemi gorsetami.**

Gorset „SPECIALITE" typu 25

(patrz rys.)

Ten ostatni model jest wycięty bardzo nizko ponad linją biustu, co daje możność dekoltowania się w bardzo znacznym stopniu i przechodzi w pięknie spływających niełamanych linjach bardzo nizko na biodra. Szesnaście trwałych prawdziwych fiszbinów, odpowiednio umieszczonych, wystarcza do polepszenia szczupłej lub średniej figury i trzymania jej w zupełnie pewnym i wspaniałym kształcie.

Cena od rb. 20.

ROK I. WARSZAWA, DNIA 1 LISTOPADA 1912 ROKU. ZESZYT III.

WIEŚ I DWÓR

DWUTYGODNIK ILUSTROWANY.



Adam ks. Czartoryski (według sztychu ze zbiorów p. Antoniego Marylskiego).

CZARTORYSCY.



Wśród najpotężniejszych narodów świata kulturalnego rzadko znajdujemy jednostki, a nawet rodziny z jednego pnia rodowego się wywodzące, a należące do sfer wyższych towarzystwa, któreby z tytułu cnót swoich rycerskich, niemniej z tytułu zasług obywatelskich, lub naukowych, były niejako w całokształcie odzwierciedleniem ducha swego narodu i na kartach jego dziejów zaznaczały się nieprzerwanie szeregiem czynów podniosłych, jedynie sławie i pożytkowi rodzimego społeczeństwa poświęconych.

Nie brak w dziejach narodu polskiego rodów takich, ucieleśniających niejako duchowe i etnicze jego właściwości—lecz między niemi—pochodzeniem starodawnem we mgle przeszłości ginącem, zasługami orężnemi, cnotami obywatelskiemi, dostojeństwem urzędów piastowanych w służbie rycerskiej, duchownej i obywatelskiej, pracą naukową i kulturalną około podniesienia oświaty ogólnej i narodowej w społeczeństwie rodzimem, górował zawsze starożytny ród Czartoryskich.

Od zamierzchłych czasów przeszłości, po epokę nam współczesną, na najwybitniejszych kartach historji polskiej widnieją członkowie owego potężnego dostojeństwem swem rodu, a gdy w przełomowej chwili wybijania się jednej z dzielnic dawnej Polski na niepodległość naród powierzał losy swoje mądrości i przezorności najzasłużeńszego z pośród siebie Męża, zaszczytne to posłannictwo oddanem zostało piastunowi cnót swego rodu i narodu Adamowi ks. Czartoryskiemu i utrzymanem zgodną wolą pogrobowców-rozbitków na obczyźnie w jego zacnej dłoni, której nawet przy sprzyjających okolicznościach i królewskie miało być wręczone berło.

Sięgając do kronik narodu polskiego z XV wieku, już spotykamy się z listem Władysława Warneńczyka z roku 1442 ogłoszonym w mieście węgierskiem Budzie — w którym to liście król, potomków Lubarta Giedyminowicza, książąt: Iwana, Aleksandra i Michała Czartoryskich nazywa swymi braćmi i krewnymi *(fratres et consanguinci)*, poświadcza, że są książęcego stanu *(ducali statu)*, że są *duces* i że od dziada i pradziada pieczętują się książęcą pieczęcią. Z dwóch głównych linij rodowych książąt Czartoryskich, jedna panowała na Nowogrodzie Wielkim i Pskowie, i ta wygasła za króla Zygmunta Starego, druga linja, młodsza, od miasta Klewania zwała się Klewańską. Z tej ostatniej wywodzą się również dwie linje, jedna, gaśnie za Zygmunta III, druga ciągnie się po dziś dzień.

Pierwszym książęciem, od którego wywodzi się ród Czartoryskich, był Wasyl, syn Korygejły, poległy w r. 1390 w bitwie z ks. Witoldem pod Wilnem.

Z pomiędzy książąt Czartoryskich wzmiankowanych w liście Króla Władysława Warneńczyka z r. 1442, Michał Czartoryski, książę na Klewaniu, był antenatem dzisiejszych Czartoryskich. On to otrzymał Klewań od Świdrygełły na własność w 1458. Obok Klewania był przyległy zamek Żuków, ztąd pierwszy książę zaczął się pisać księciem na Klewaniu i Żu-



Kościół w Jutrosinie w W. Ks. Poznańskiem (z teki ks. Zdzisławowej Czartoryskiej).



Na zamku w Ruhbergu, na Szlązku, rezydencji ks. Ol. Czartoryskiego.
W drzwiach Arc. Mechtylda i ks. Olgierd Czartoryski (para narzeczonych).
U stóp narzeczonych na schodach siedzi Arcyksiąże Leon.
Arcyksiąże Karol-Stefan. Arcyksiężna Marja Teresa. Ks. Zdzisławowa Czartoryska. (z teki ks. Zdzisławowej Czartoryskiej). Arcyksiąże Wilhelm. Hr. Jan Szołdrski. Z ks. Czartoryskich hr. Iza Szołdrska.

kowie. Potomek tegoż, Aleksander, książę wojewoda wołyński, stał się wielką postacią historyczną w dziejach swego rodu. Pierwszy to Czartoryski, co na Litwie uczuł się Polakiem i rozpoczął nową erę. Zacny swój zawód na krótko przed zgonem, zamknął podpisaniem w roku 1569 wiekopomnej Unji lubelskiej. Syn jego Hieronim, któremu Zygmunt August powierzył dowództwo nad wojskiem kijowskiem, otrzymał w nagrodę cnót rycerskich i dzielności bojowej przydomek *praeclarus bellator.*

Niepodobna wymienić w tem miejscu długiego szeregu potomków rodu Czartoryskich zapisanych w kronikach narodowych, z tytułu wielkich zasług wyświadczonych krajowi na wszystkich prawie polach działalności państwowej, bojowej i społecznej. W dziejach Kościoła polskiego plutarchową niemal postacią był Florjan ks. Czartoryski, arcybiskup poznański, prymas w wieku XVII. Brat jego rodzony, Michał, wojewoda sandomierski, odznaczył się zasługami dyplomatycznemi w mnogich poselstwach do Turcji. Inny Ks. Czartoryski, Jan Karol, podkomorzy Krakowski, oprócz licznych starostw w Koronie i na Wołyniu, posiadał w r. 1656 starostwo żywieckie i czynnie działał w powstaniu narodowem przeciw szwedom, bijąc nieprzyjaciela w krakowskich okolicach.

Józef ks. Czartoryski, chorąży wielki litewski, był antenatem owej linji, która się zaczęła mianować korecką. Kazimierz Czartoryski książę na Klewaniu i Żukowie, ożeniwszy się z Izabellą Morsztynówną, wychowaną na dworze Ludwika XIV, powiększył bogactwo rodziny i otworzył w Warszawie, za Jana Sobieskiego, salon w stylu wersalskim, gdzie się gromadziła cała arystokracja krajowa.

W drugiej połowie XVIII wieku wystąpili na widownię dziejów dwaj synowie księcia Kazimierza: Fryderyk Michał, kanclerz wielki litewski, jeden z najznakomitszych statystów polskich i August Aleksander, wojewoda ruski, wuj ostatniego króla polskiego, Stanisława Augusta.

W r. 1726 książę Fryderyk ożenił się z Eleonorą hrabianką Walensteinówną, czeszką, potomkinię rodu, z którego powstał sławny za 30 letniej wojny Wallenstein, książę frydlandzki.

Już wtedy Czartoryscy, pod koniec panowania Augusta II, zaczęli tworzyć, tak zwaną *Familję,* to

jest stronnictwo polityczne dążące do reformy, a przeciwne Potockim i Radziwiłłom, którzy obstawali przy utrzymaniu wolności szlacheckiej. Reformy Czartoryskich dążyły do ograniczenia prawa *liberum veto,* do utworzenia komissyj rządowych i do podniesienia dyssydentów. Sejm Koronacyjny po zgonie Augusta III uchwalił wzniesienie na rynku wileńskim pomnika kanclerzowi Czartoryskiemu z wyliczeniem na nim wielkich jego zasług i czynów, a po śmierci — nagrobka w katedrze wileńskiej. Wbrew oczekiwaniom i dzięki jedynie wpływom dworu rossyjskiego, tron kandydata do korony. On to wyjednał ustanowienie w Warszawie szkoły rycerskiej, z której następnie wyszli wszyscy najznakomitsi w kraju mężowie nowożytnej, porozbiorowej Polski.

Wpływ Adama ks. Czartoryskiego wzmógł się w Rzplitej z chwilą utworzenia ogniska umysłowości polskiej w jego rezydencji, w Puławach. Wszyscy mężowie uczeni, poeci i obywatele gromadzili się około osoby gościnnego gospodarza, który, obok zasług swoich obywatelskich, celował wytwornością literackiego pióra i nadawał ton całej arystokracji



Sielec, w Poznańskiem, rezydencja ks. Olgierda Czartoryskiego (z teki ks. Zdzisławowej Czartoryskiej).

Rzplitej nie przypadł w udziale rodowi Czartoryskich, lecz siostrzeńcowi wojewody ruskiego, Stanisławowi Augustowi.

Rola polityczna Czartoryskich mimo to pozostała w Rzplitej wszechwładną i przeciwstawiała się nieraz majestatowi królewskiemu. Podniósł te przemożne wpływy syn wojewody ruskiego, Adam Kazimierz, generał ziem podolskich, dziedzic olbrzymich bogactw i nadzieja rodziny, największy z panów polskich swego czasu, zrodzony z Zofji Sieniawskiej, hetmanówny koronnej i kasztelanki krakowskiej, wdowy po Denhoffie. Od lat najmłodszych jaśniał darami umysłu i serca i uważanym był zasłużenie na polskiej. Zgon jego w r. 1823 w Sieniawie, okrył kraj cały żałobą narodową.

Narówni z generałem ziem podolskich i małżonka jego, Izabella Fleminżanka, budziła w kraju ruch umysłowy i pierwsza dała przykład kultu dla pamiątek przeszłości, gromadzonych w domu gotyckim w Puławach. Zalety rodowe przeszły w spadku po tej zasłużonej parze na dzieci. Córka Marja, wydana za księcia Wirtemberskiego, była jedną z pierwszych autorek polskich. Syn, Adam Jerzy, zyskał przyjaźń cesarzewicza Aleksandra i stał się ministrem spraw zagranicznych państwa rosyjskiego, a następnie, jako kurator wydziału oświecenia, wraz

z Czackim i Kołłątajem, krzewicielem oświaty w narodzie.

Jako Prezes Rządu Narodowego Królestwa Polskiego, po upadku powstania listopadowego osiadł z rodziną w Paryżu, gdzie również na polu literatury i dobroczynności względem rodaków olbrzymie położył zasługi. Zgon jego w r. 1861 głośnem w całym kraju odbił się echem. Nabożeństwami po kościołach Królestwa uczczono pamięć znakomitego męża stanu, pisarza i patrjoty.

Brat Adama Kazimierza ks. Czartoryskiego, Konstanty Adam Aleksander, zaznaczył się w dziejach krajowych, jako waleczny żołnierz wielkiej armji Napoleona i pod Smoleńskiem otrzymał od Cesarza oficerski krzyż legji honorowej. Ciężko ranny pod Możajskiem, opuścił służbę wojskową i osiadł następnie w Wiedniu, gdzie, jako miłośnik sztuk pięknych, otworzył gościnne dla znawców podwoje. Zmarł tamże w roku 1860.

Z krótkiego powyższego zarysu rodu książąt



Sielec, w Poznańskiem, rezydencja ks. Olgierda Czartoryskiego. Fragment z parku (z teki ks. Zdzisławowej Czartoryskiej).

Z małżeństwa jego z księżniczką Sapieżanką, córką Aleksandra, pozostali synowie: Witold, żonaty z Marją Grocholską i Władysław z córką królowej hiszpańskiej, Krystyny, księżniczką Rianzares, i ks. Konstanty utrzymali piękną po zasłużonym ojcu tradycję mecenasów nauk i literatury. Córka Zofja, ordynatowa Zamoyska, polka cnót wielkich i filantropka, zmarła w r. 1837 we Florencji i tam, w kościele Santa Croce, ma wspaniały nagrobek. Ostatnia córka, Teresa Anna, spaliła się w r. 1870 w pałacu błękitnym w Warszawie.

Czartoryskich, pielęgnującego i w żyjącem pokoleniu cnoty i zasługi swoich przodków, oddanego z poświęceniem usługom publicznym, można powziąć wyobrażenie o niespożytej sile tradycji rodowej, która, mimo klęsk politycznych i niemożności działania na arenie szerszej w roli przewodników i wodzów swego narodu, promienieje nieprzerwanie przykładem cnót obywatelskich i wpływem moralnym, w kierunku uszlachetniającym serca i umysły rodaków.

AL. K.

WARSZULKA.

Literatura polska posiada w swojej skarbnicy niepowszednią galerję niewiast. Niemal wszystkie spotykane typy kobiece da się odszukać wśród tego różnorodnego tłumu, jaki wyczarowali ze swojej wyobraźni nasi mistrze. A jednak choć znamy wdzięki zalotnej Telimeny, przytulną miłość Zosi, choć Ewa Pobratyńska lub Hanka Połaniecka pozostaną w naszej pamięci na zawsze — musimy do grona tych polskich niewiast przyjąć jeszcze jedną. Nie wychowały ją salony, nie smagało ją światło elektryczne miejskich kinkietów. Urodziła się hen, daleko, wśród leśnych ostępów litewskich, wsłuchiwała się sercem w poszum gajów, w gędźbę jezior. W oczach jej ciemnych, fosforyzujących, żyją legiendy czarów i uroków. Smukła jej białość ma w sobie coś z łani, coś z rysia, a jednocześnie tchnie taką świętością i nieprzystępną powagą, że krew ścina się w rozszalałych, pożądliwych rękach. Czuć powinniśmy wdzięczność dla Weyssenhoffa, że utrwalił ją na stronicach swojego „Sobola". Bez niej Jagna Reymonta byłaby samotnicą. A przecież my w unji świętej żyliśmy pół tysiąca lat, pół tysiąca lat uczyło nas i doświadczało wzajemnie. Dobrze się więc stało, że Koronie znów Litwa stanęła przy ramieniu: przy prapiastowej córce, Jagnie, wychowanka borów litewskich, Warszulka. O, bo i dziwny to kraj. Nie zmarnowano tam jeszcze piastowej powagi. Stary Trembela, mówiący o chłopskiej doli, toż to jakiś kolos, jakiś olbrzym. Tylko Homeryckie giganty mogą się mierzyć z tą prostą, mocną piersią litewskiego dziada. Trzeba go widzieć, jak rozmawia z Misiem Rajeckim, by zrozumieć, ten orkan mocy, jaki się kryje w tych piersiach.

Weyssenhoff mówi też o tej ziemi, co rodzi takich ludzi, z rozrzewnieniem. Ziemia to, gdzie „jeszcze nie każdy człowiek bywa człowiekowi wilkiem". Nie dziw więc, że ziemia ta wydała Warszulkę Łankinisównę. Jeszcze dziś wspomina o niej Michał Rajecki; choć kiedyś widział ją w proroczym jasnowidzeniu. Śnił wtedy i przypuszczał:

„Będzie miał wiele do czynienia z kobietą w przeróżnych postaciach: z Królewną, z Bajaderą, z Przytulną i Złowrogą, lecz nie spotka nigdy takiej dziewczęcej, z dobrej woli poddanej istoty, z którejby i towarzyszka dnia i ozdoba nocy, i matka zdrowym dzieciom wyrość mogła — nie spotka takiej, jak Warszulka".

Nie wiadomo, czy te przypuszczenia Misia Rajeckiego sprawdziły się, ale wiadomo, że porzucił dziewczęcą duszę dla nudy swoich upodobań, że całował te wiśniowe usta bez krzty zrozumienia, czem mogły być dla niego. Przyjaciel jego, Stach Pucewicz, powiódł przed ołtarz Anielkę Trembelównę. Dziś żyje szczęśliwie i poluje, poluje od świtu do nocy, wsłuchuje się w serce borów, przegląda się w jeziornych lustrach. Smutek wypełz z duszy Misia, ale trudno. „Co się stało, odrobić nie podobna". Pojechała do Połągi jego Warszulka. Pojechała leczyć rany serca. Pojechała z mężem, którego jej zaswatał Miś, bo tak panicz kazał.

Legenda miłości tej prostej dziewczyny nie ma linji, zawikłanych czy ekcentrycznych. Ot — zwykłe dzieje. Spotkał panicz na rwaniu orzechów, pocałował i wraz z tym pocałunkiem wszczepił w duszę dur miłowania. Oczy napełnił dziwnym blaskiem tęsknoty, serce rzucił do nóg, uczynił z niej niewolnicę, choć tego nie pragnął. Onaby i do miasta służyć mu poszła, ona uczy się mówić po polsku, by rozumieć jego mowę pieszczącą. Gdy każe jej przyjść na schadzkę, wyczekuje godzinami na jego przybycie. A jednak na nieprzystojny giest zawsze zareaguje, buntuje się w niej dusza nawet, gdy zgodziła się z myślą, że jego być powinna. Raz tylko rozszalał się w niej tlejący płomień. Przyszła nad jezioro, czekała. Krew rozigrała się w niej w pożogę, jakaś koszulka Dejaniry oplotła jej ciało. Rozbiera się coprędzej i biegnie w jezioro. Pruje krągłą piersią wieczorną toń i myśli: ach, żeby zobaczył te ramiona tęskniące, ten tors, wykuty z marmuru.

Nie przyszedł jednak. Nie chciał brać odpowiedzialności za krzyk swojej krwi. A zresztą, gdyby nawet przyszedł, nicby pewno nie zaszło. Pilnował stary Łankinis honoru swojej rodziny. Strzegł ją „miedziany medalik", co to dała go Misiowi na drogę, by pamiętał o niej. Obiecał jej przywieźć wzamian od biskupa drugi, poświęcany, ale—zapomniał. Chce jej złoty zegarek dać na pamiątkę. Nie przyjmie, bo to... niepoświęcane.

Scena pożegnania Misia z Warszulką na drodze posiada przedni czar czegoś niezwykle subtelnego i wykwintnego. Nie żegna się tu panicz z dziewczyną roboczą. Nie żegna się tu kochanek z kochanką. Raczej nieśmiały zakochany paź żegna wielką damę — stoi wśród olbrzymich lasów, wśród jezior i pól. Jest w tym pożegnaniu coś z kornej modlitwy, coś z rzewnej, pieśni granej o zmierzchu na staropolskim szpinecie.

Prosi ją Miś, by dała mu kwiat na pamiątkę. Niema go ona pod ręką. Prosi o „medalik".

— Nie można, paniczu — poświęcone!

— To i cóż — sam będę nosił. Daj!

Weyssenhoff przytem taką wypisuje uwagę:

„Patrzyła ciągle w oczy swego pana i w oczach jej cały kobiecy dramat walki wstydu z namiętnością,

obowiązku z szałem, grał błyskawicami, aż śniady cień pod jej oczyma ściemniał, pogłębił się—i uległa przemożnej pokusie. Sięgnęła w zanadrze, dobyła swe świętości: na czarnym sznureczku blaszany medalik i krzyżyk. Odcięła zębami medalik i podała go Michałowi.—Wnet wyrwała mu się z objęć, kryjąc twarz rękoma, jakby poczuła ciężar swego grzechu".

Obok wrodzonej wstydliwości i pomimo szalonej miłości, posiada Warszulka przedziwny takt. Umie zawsze odpowiednio się znaleźć, umie zawsze w porę przerwać rozmowę, która mogłaby poprowadzić ją na manowce. A jednak gra w niej krew symfonją bajeczną, wulkaniczną. Czuje się w niej przewielką siłę żywiołu. Nie nęci tym, czego nie ma. Nie mówi też o tym, co dać może. Taka jest prosta, taka dziwnie niekokietliwa. Nie podejrzewa o dwuznacznik Misia nawet wtedy, gdy dotyka brzegu zamaczanej spódniczki. Ot — jest sobie taka, jaką ją Bóg stworzył. A stworzył ją piękną, zdrową i silną. Nanizał w duszy wszystkie struny swojej przeogromnej miłości, namaścił olejami wszystkich darów, jakiemi poszczycić się tylko mogła ona, Ewa, prarodzicielka.

Warszulka nie znalazła szczęścia w swoim kochaniu. Jej sokół odleciał daleko, jej sokół poniechał ją dla marnego przesądu. Zrozumiał to potem, ale było już zapóźno.

Gdy dla porównania weźmiemy taką panią Teresę z „Sobola i Panny", gdy weźmiemy typy kobiet od innych autorów — Warszulka nasza, jeżeli nie zwycięży, napewno nie da się usunąć na plan drugorzędny. Jej cudna kobiecość pozyskuje sympatję wszystkich. Jej sielska prostota pociąga i ujarzmia.

Bo i ktoby zmienił Warszulkę na salonową lwicę Teresę? Kto chciałby czcić mdłe zapachy sztucznych kadzideł, gdy może poić się nektarami żywicznych ardów, odurzać się wonią lasów, łąk i pól? I nietylko z panią Teresą wygrywa Warszulka na porównaniu. Proszę ją przeciwstawić stokrotnie omawianej kochanicy z „Urody Życia" Tatjanie. Prawda, ma to być typ niepolski. Ale nie o to chodzi. Krytykom zaimponowała ta eksentryczna, miotająca się dziwaczka. Miłość jej wyobrazili sobie, jako najwznioślejszy poemat krwi.

Przy Warszulce traci ona swój pierwotny urok. Wszystko wydaje się w niej sztuczne, histeryczne, a nawet niekiedy dzikie. Otwiera ona ramiona bez tego świętego, kobiecego poddania, jakie cechuje Warszulkę. Jest ona, coprawda, kobietą innej sfery, innej kultury, tym może tłomaczy się jej dziecinny, dziki despotyzm, ale sympatji męskiej nigdy nie posiądzie. Możliwe, że jak na kochankę, jak na kobietę chwilowych upodobań jest ona ponętna i ciekawa. Ale na taką, co może być „nocy ozdobą" i zdrowych dzieci matką, na taką, co może być towarzyszką dnia pracy — tylko Warszulkę wybrać musimy. Gdy przypomnimy, że typ ten wymarzył, a może z własnych wspomnień odtworzył Weyssen-



„Warszulka" z pod Krakowa (fot. am. p. K. Łuniewskiej).

hoff, zrozumiemy, jak musi on być bardzo rasowy, bardzo nasz, bardzo rzeczywisty.

Wobec różnych rozkładowych powieściowych kobiet — Warszulka wrasta na tę bohaterkę która zrodzi tych, co pomszczą krzywdy dziadów i ojców. Nie zrodzi ich przecież zapadnięte, histeryczne łono wrzeszczących „kobiet-ludzi". Bez wrzasku spełni swój obowiązek matki, żony, kochanki. Nie będzie się upominać o swoją „człowieczość", gdyż jest arcyludzka w każdym swoim poruszeniu, w każdym odezwaniu...

Niech więc uleczy twoje serce sina dal morza, Warszulko!

Niech ukołysze twoje myśli srebrna fala Baltyku!

Wróć z Połągi, wróć. Czekają na ciebie bory, czekają szerokie litewskie polany. Stań się Karjatydą, na której spocząć może spokojnie nadzieja przyszłości. Rzuć ziarna przyjaźni i miłości w swoją orną ziemię, niech wyda ona owoc porozumienia i unji — jak przed laty uczyniła to inna niewiasta, Jadwiga Jagiełłowa.

EUSTACHY CZEKALSKI.



Pomnik Michała Wagnera w Wielkich-Solecznikach, w Wileńskiem, poległego w bitwie pod Widzami 1812 r. (z teki p. Wagnera).

Dzień Zaduszny.

Świec płomieniami katafalk ujęty,
Jak złotą ramą, chwiejną o podmuchu;
Nad nim góruje krzyż czarny i święty,
A na nim Chrystus rozpięty bez ruchu,
W źrenice mądrze patrzące i szczerze
Zagarnia bólu naszego bezbrzeże.

I smutną była ta świątynia Boga...
Tylko westchnienia powiewem się niosły
I z oczu śmierci wyzierała trwoga.
Szmery pacierzy—w głośne łkania rosły;
Każdy się nawet bał spłoszyć spojrzeniem
Troskę, co gniotła dusz tłumy kamieniem.

Choć oczy twoje w dumnej, męzkiej twarzy
Płonęły także smutkiem i tęsknotą,
Jednak, gdy błysk ich zerwawszy z ołtarzy,
Rzuciłeś przez tłum, niby strzałę złotą,
Tak były całe utkane z promieni—
Że zda się słońca szlak został w przestrzeni.

Mój wzrok spotkawszy przed siebie utkwiony,
Uśmiechem jasnym usta rozchyliłeś;
I tym uśmiechem stałeś rozjaśniony,
I tym uśmiechem tylko pozdrowiłeś.
Ale promienie twojego uśmiechu,
Rzuciły na mnie jak gdyby cień grzechu.

Bo mi się zdało, że w tym tłumie łzawym
Nikt do uśmiechu prawa nie posiada,
Że na twej twarzy był on zajaskrawym,
Gdy u każdego twarz z żałości blada,
Więc, chociaż także wzrokiem swym rozbłysłam,
Na oczach Boga, oczami zawisłam.

Chciałam, by Chrystus, przesmutny na krzyżu,
Zwrócił się do mnie i patrzał bez końca,
By Swoim smutkiem—śćmił ciebie w pobliżu...
Przez okno, nagle, wpadła powódź słońca
I, ozłocony snopem blasków dumnie,
Chrystus—z uśmiechem jasnym spojrzał ku mnie.

HELENA PINIŃSKA.



Brzozy (fot. am. p. W. Szczawińskiego).

Z żałobnej karty.

Ś. p. Tomasz hr. Potocki.

Ubył jeden z tych, co „chcieli chcieć".

Dnia 8 października zmarł nagle w Warszawie, na anewryzm serca, przeżywszy lat 52, ś. p. Tomasz hr. Potocki, syn ś. p. Antoniego i Izabeli z hr. Borchów, 2-voto hr. Orłowskiej. Zmarły pochodził z rodowej linij chrząstowskiej Potockich. Wnukiem był Tomasza Potockiego, jednego z najtęższych umysłów w połowie zeszłego stulecia, autora licznych rozpraw społecznych i politycznych, wydanych pod pseudonimem Krzysztopora. Po ukończeniu studjów na uniwersytecie dorpackim, ś. p. Tomasz hr. Potocki osiadł na roli w majątku swym Zyple, w gub. suwalskiej, pracując na zagonie ojczystym intensywnie i chlubnie. Zwolennik najszerszej oświaty, popierał gorąco materjalnie i moralnie szkoły polskie w swojej okolicy, powołał do życia szkołę średnią polską w Suwałkach, oraz brał żywy udział w każdej poważniejszej akcyi społecznej. Wybiegając po za szersze horyzonty, zarówno inicjatywą, jak i przemysłowością, ś. p. Tomasz hr. Potocki zajął wybitne stanowisko w świecie przemysłowym. Przed kilku laty założył pierwszą w kraju naszym większą fabrykę konserwów i przetworów jarzyn krajowych, z jego też inicjatywy, niedawno podjętej, rozwinąć się miała nowa gałęź przemysłu leśnego — mianowicie, t. zw. „żywicowanie sosny". Należał też do grona tych, którzy żywo interesują się ruchem artystycznym. Zamiłowany w sztuce, chwile wolne od pracy rolnej i przemysłowej poświęcał wcale udatnemu dramatopisarstwu. Ś. p. Tomasz hr. Potocki pierwszy zainteresował się żywo sprawą nowego teatru Polskiego w Warszawie i otoczył przedsięwzięcie to troskliwą opieką, dając mu silne fundamenty materjalne. Zgon ś. p. Tomasza hr. Potockiego wywołał w szerokich kołach najszczersze współczucie. Zmarły osierocił małżonkę Pelagję z hr. Brzozowskich z kilkorgiem dzieci.


Ś. p. Tomasz hr. Potocki.

Spoczął w dziedzicznych Zeplach, w Suwalskiem.

Cześć Jego pamięci!

Ś. p. Stanisław hr. Badeni.

Wieść o śmierci długoletniego marszałka Galicji, Stanisława hr. Badeniego, rozeszła się smutnem echem w całej Polsce.

Stał on na czele samorządu Galicji, z małą przerwą, przez lat siedemnaście, najdłużej ze wszystkich, którzy laskę marszałkowską dzierżyli. Przez cały ciąg sprawowania obowiązków tego najwyższego urzędu, zmarły pełnił godnie straż godności i dobra ogólno-narodowego. Pozostawił po sobie zaszczytną pamięć dobrego patrjoty i obywatela u ludzi wszelkich odcieni politycznych.

Gdy w początkach roku bieżącego oświadczył w sejmie zamiar ustąpienia z urzędu, ogólny głos całej Galicji skłonił go do pozostania nadal na stanowisku. Przekonał się wtedy, że był najpopularniejszą osobistością w kraju. Posiadał bowiem intuicję wodza, obejmującego zawsze bystrym rzutem oka całość sytuacji. Wszyscy, co go otaczali, posłowie, stronnictwa i członkowie Wydziału Krajowego, przywykli w każdej potrzebie szukać jego wytrawnego i przenikliwego sądu. Podziwiali równowagę umysłu nieodżałowanego marszałka i absolutną bezwzględność w ocenianiu przez niego postępowania własnego i innych. Odznaczał się przytem przysłowiową pracowitością i gorliwością w służbie publicznej.

Siedemnastoletni okres jego marszałkowstwa przypadł w czasie, gdy rozwój ekonomiczny Galicji posuwał się naprzód w żywszem tempie. Hr. Stanisław wziął na siebie w tym zakresie intensywną część pracy. Można powiedzieć, że każda inicjatywa, odnosząca się do publicznych stosunków kraju,

opierała się o niego. Potwierdza to historja sejmu i administracji autonomicznej Galicji w ostatnich dwóch dziesięcioleciach.

Odrazu w mowie inauguracyjnej, wygłoszonej przy objęciu urzędu, d. 28 grudnia 1895 r., wytknął cały szereg prac, które następnie przeprowadził. Były to kwestje reformy gminnej, ustawy łowieckiej, projekt o ustaleniu położenia prawnego nauczycieli ludowych, oraz ustawa szpitalna. W kolei czasu powiększyły ich liczbę ustawa drogowa, sprawa opróżnienia Wawelu z wojska i przywrócenia dawnej świetności Królewskiego zamku, ustawa budownicza dla miasteczek i wsi, komasacja gruntów, wytworzenie Kas Reiffeisena i wiele innych.

We wszystkich tych sprawach Stanisław hr. Badeni był *spiritus movens,* umiał nadawać im popęd właściwy i wprowadzać w wykonanie.

Poświęcając cały czas i trudy przeważnie gospodarczym interesom Galicji, trzymał jednocześnie rękę na pulsie polityki Koła polskiego w Wiedniu i współdziałał czynnie z tą korporacją w chwilach trudniejszego powikłania stosunków kraju do monarchji. W Wiedniu liczono się z nim bardzo, jako z przedstawicielem usposobień całego kraju i mężem zdrowej rady, której lekceważyć się nie godzi.

W mowie przed trumną marszałka słusznie zaznaczył p. Juljusz Starkel, że jakkolwiek z urodzenia i stanowiska społecznego należał do obozu konserwatywnego, odczuwał jednak doskonale prądy współczesnej myśli i dawał pociągnąć się daleko w kierunku demokratycznym. Miał zawsze na oku przedewszystkiem ogólne interesy narodowe i podporządkowywał im stale tendencje i życzenia kasty, z której pochodził.

Jako naczelnik autonomii krajowej stał po za wirem waśni politycznych stronnictw i zajmował względem nich stanowisko bezstronne, co mu jednało szacunek u wszystkich. Starał się wywierać zwykle wpływ pośredniczący i łagodzić zbyt wybujałe sprzeczności.

Wiadomo, że niejednokrotnie powaga jego zdołała powstrzymać w Sejmie rozbieżne prądy opinji i uchroniła od ostrych konfliktów. Mniej pomyślnie wypadły podejmowane przezeń pojednawcze próby w trzech najważniejszych obecnie sprawach galicyjskich a mianowicie w kwestji obstrukcji rusińskiej w Sejmie, ugody między tą narodowością i polakami, oraz w sprawie reformy wyborczej do sejmu, która jest obecnie najpilniejszą i najważniejszą ze wszystkich potrzeb krajowych. Nie można wszakże czynić zmarłemu marszałkowi zarzutów że współdziałając w doprowadzeniu wspomnianych spraw do pożądanego załatwienia nie doznał powodzenia, jakiego pragnął. Wiadomo, jakiemi trudnościami najeżone jest zadanie ugody z Rusinami, z czem łączą się ściśle kwestje obstrukcji sejmowej i oddzielnego uniwersytetu rusińskiego.



Ś. p. Stanisław hr. Badeni.

Jeżeli ugoda dojdzie w niedalekiej przyszłości do załatwienia, to stanie się to głównie pod naciskiem rządu wiedeńskiego, przywiązującego do tej sprawy aktualne znaczenie polityczne. Zasługa polskich stronnictw galicyjskich będzie w tej sprawie bardzo niewielka. Stanisław hr. Badeni nie przyczynił się zatem w sposób wyraźny do zagojenia tej niebezpiecznej rany w naszym organizmie politycznym, chociaż jego marszałkowski urząd otwierał przed nim szeroką sposobność w tym kierunku. Jednakże uznać należy jego dobre chęci i podkreślić tę okoliczność, iż w tym względzie działalność jego nie zaznaczyła się także żadnemi szkodliwemi czynami. Był on, podobnie jak i brat jego, były prezes gabinetu przedlitawskiego, hr. Kazimierz, najgorliwszym zwolennikiem rozszerzenia autonomii galicyjskiej i przy tej zasadzie obstawał mocno do końca swego czynnego zawodu.

Po ustąpieniu z urzędu w czerwcu r. b. nieubłagana choroba przecięła d. 12 października pasmo zasłużonego żywota w sześćdziesiątym roku jego życia.

Zaszczytna pamięć, jaką zmarły marszałek zostawił w spuściznie trzem synom, zrodzonym z żony jego, hrabianki Mierównej, łączy się w uczuciach powszechnych z uznaniem dla znakomitego męża narodowego.

ST. P.



WYCINANKI KSIĘŻACKIE.

Najpiękniejszą wsią w chłopskiem księstwie są bezsprzecznie, Redki, w parafji złakowskiej, o wiorst trzy od przystanku kolejowego Jackowice; choć położone byle jak, w okolicy, pozbawionej malowniczego uroku, nie rażą zwykłą monotonją wsi polskiej. Albowiem jest to wieś zdobna, „kolorowa", śmiejąca się, w której nawet zimą, gdy drzewa czarne, a niebo ołowiane, nie jest smutno.

Pierwszem wrażeniem, jakie odnosi się w Redkach jest, że mieszkańcy mają zmysł estetyczny, rozwinięty więcej, aniżeli w innych wsiach i zamiłowanie do zdobnictwa większe, a wrażenie to zamienia się w pewność, gdy pozna się ich lepiej. Wszystkie prawie domy redkowskie wznoszą się na podmurowaniach, conajmniej półtorałokciowej wysokości, z wielkich kamieni, których na polu jest obfitość duża; większość posiada ganki, na które wchodzi się po schodkach.

To nie są zapadające się w ziemię chałupy, to są chłopskie pałace. Drzwi i okna każdego domu malowane w różnobarwne kwiaty na tle niebieskiem, ulubionym wogóle przez księżaków kolorze; nierzadko drzwi rzeźbione przez domorosłego artystę: na jednych estetyczny fryz, na innych ludzie i konie, choć niekształtnie nożem w drzewie wycięte, lecz— z rozmachem.

W środku wsi kapliczka, barokowo pstra, z przewagą niebieszczyzny.

Gdy sąsiedni Złaków Kościelny jest wsią poważną, archaiczną, jakby przetrwałą z epoki starej baśni „eleganckie", kolorowe Redki śmieją się kokieteryjnie swemi pstremi drzwiami, oknami i drwią, zda się, z wszelkiej „powagi".

Nic dziwnego też, że w Redkach dziewuchy robią piękniejsze „wycinanki", aniżeli po innych wsiach; zwłaszcza słyną z tego kunsztu p. Pawlinówny, córki Filipa, gospodarza redkowskiego.

„Tasiemce" i „kołdry", a niemniej prześliczne dzbanuszki ze skorupek jaj, wytwarzane przez najstarszą córkę Filipa Pawliny, były niejednokrotnie podziwiane na wystawach; służą one za „modę" (czyli za model) dla dziewuch całej okolicy, dumnych naturalnie z tego, że w poblizkiej wsi mieszka (właściwie, mieszkała dawniej) wycinaczka-artystka, której nazwisko znane jest nietylko w Warszawie, lecz i zagranicą.

Jest kilka rodzaji wycinanek:

1) „Tasiemce", albo „tasiemki", zawieszane na ścianie, poniżej stropu, jak wstęgi, parami, albo pojedyńczo; zdobią je różnobarwne kwiaty, liście i ornamenty fantazyjne. Długość tasiemców 1 — 3 stóp, szerokość mniej więcej $^3/_4$ stopy.

2) „Kołdry", większe od „tasiemców", zawieszane na ścianach i na belkach, zawsze pojedyńczo i nie wzdłuż, lecz wpoprzek. Na „kołdrach", prócz kwiatów i liści, znajdują się często postaci ludzi i zwierząt; długość 1 — $1^1/_2$ łokcia, szerokość około $^1/_2$ łokcia.

3) „Lalki" z różnokolorowych papierów, zawieszane oddzielnie.

4) Gwiazdy, pokryte ornamentacjami fantazyjnemi.

„Tasiemce" mają wygląd haftowanych końców stuły, zawieszane są poniżej stropu świetlicy i izby kuchennej, parami, t. j. po dwa jednakowe, szeregiem, para za parą, lub po parze między obrazami, albo, wreszcie, przetykane kwiatami.

Kwiaty i liście na „tasiemcach" często większe od naturalnych, a nieraz i kształtem różniące się od nich — fantazyjne; kolory i tło rozmaite. Wszystkie barwy. Ślicznie zdobią świetlicę różnobarwne „kołdry" i „tasiemce", jak bukiety, jakby kilimy, haftowane w kwiaty.

Wogóle, całe ściany, od poziomu łóżek, aż do

stropu, zawieszane są „tasiemcami“ i „kołdrami“, obrazami świętemi, kwiatami naturalnemi i sztucznemi, a przez to, choć ogólny „ton“ świetlicy jest raczej ciemny — z powodu małych okien, a wielkich, o rozłożystych koronach topoli przed niemi — wesoło w niej.

Niekiedy, miast wycinankami, zdobią świetlicę talerzami lub kubkami z różnokolorową malaturą, zawieszając niemi również całe ściany, co także wygląda bardzo ładnie i oryginalnie; lecz jest to raczej niemiecka moda.

„Kołdry“ są większe od „tasiemców“ i zawieszane pojedynczo, nie wzdłuż, jak wstęgi, lecz poprzecznie.

Kwiaty i liście na „kołdrach“ służą tylko za boczne ornamenty, w rodzaju winiet, a tematem głównym, środkowym — ludzie, czworonogi, ptaki, oraz „różności“: wesela, pogrzeby, kompanje do Częstochowy (naturalnie! jakżeby bez tego!), pociągi, czworokonne karoce, cykliści, zwierzęta „egzotyczne“ (lwy, słonie) e. t. c.

Wogóle, niema, zda się, takiej rzeczy na świecie, której, ewentualnie, nie upodobałaby sobie nadobna „dzieucha“, księżaczka (czy„ księżniczka“ — jakbym rad pisać) i nie wycięła jako ozdobę na „kołdrę“.

Przyznać należy zupełnie bezstronnie, że fantazję w tym względzie posiadają bujną. Więc, gdy na jednej kołdrze widzisz stado domorosłych gęsi, na innej — parę słoni, całujących się trąbami, na trzeciej oglądasz okrągłą postać księdza proboszcza, na czwartej — spasnego wieprza i t. d. Postaci ludzkie na „kołdrach“ zowią ogólnie „lalkami“. Na artystycznych kołdrach Pawlinówien (i niewielu innych) główki lalek, uprzednio wyrysowane, wycięte są z papieru, jak cała postać, kształtne, na innych, prawie na wszystkich, główki są to kupne „malowanki“ (któremi dzieci zdobią kajety) świecące się, komiczne, nieestetyczne. (Wogóle „kołdry“ podwzględem estetycznym ustępują „tasiemcom“).



Widziałem też „lalki“ nienaklejone na kołdrach, lecz wycięte i zawieszone, jako oddzielne postaci (a więc dosłownie lalki papierowe), męzkie i kobiece, te ostatnie w spódnicach bufiastych z kolorowej bibułki i z włosami z konopi. Wielkość, t. j. wymiar wzdłuż mniej więcej półtorej stopy. Szereg takich lalek z państwem młodemi na czele tworzy wesele, które widziałem np. u Antoniego Matyska w Zdunach, gospodarza, nie mogącego ciężko pracować, wskutek słabego zdrowia.

Wycinanki, zasługujące na nazwę estetycznych, mają zazwyczaj swój styl odrębny, po którym można je poznać, jako robotę pewnej osoby i odróżnić od robót innych.

Bardzo wybitne piętno swoistego stylu posiadają np. wycinanki Frankowskiej z Jackowic. Te, które widziałem, należą do rodzaju „kołder“, lecz są zupełnie odmienne od innych z tego rodzaju. Frankoszczanka lubuje się w tematach prostych, swojskich, domowych,



Zagroda w łowickiem (fot. am. p. W. Szczawińskiego).

jak: młócenie w stodole, tkanie na warsztacie domowym, żniwo i t. p. — a unika tematów „egzotycznych". Dominują w jej wycinankach — na tle najczęściej białem — kolory żółty i pomarańczowy, ten ostatni jako barwa, dominująca w „wełniakach"; wskutek tego są one nieco monotonne, lecz bardzo stylowe.

Piękne, a w każdym razie niebrzydkie, wycinanki robią także: Kochankówna w Duplicach Dużych, Zaczkówna w Zielkowicach, Strycharska w Małyszycach — dwie ostatnio wymienione, jak słyszałem — na sprzedaż.

Prócz tych i inne (może inni), nieznane mi, robią wycinanki w celu sprzedaży na jarmarkach, przed świętami Wielkiej Nocy.

Zresztą, niemal każda dziewucha księżaczka przed Wielkanocą puszcza w ruch nożyczki i tnie papiery, aż miło!

Mężczyźni trudnią się tem bardzo rzadko, prawdopodobnie tylko w razie, gdy nie mogą ciężko pracować, a posiadają odpowiednie zdolności.

Jak wspomniałem, zwyczaj strojenia świetlicy i izby kuchennej nowemi wycinankami co rok, przed W i e l k a n o c ą, jest w Księstwie powszechnym.

O tej porze roku zazwyczaj tkanie wełniaków i płótna na domowe potrzeby już ukończone, warsztaty (założone na zimę) wyniesione na górę, lub do komór schowane, a pracowite ręce kobiet imają się innej roboty. Gospodynie wyrabiają kiełbasy, kichy, pieką plaki, a dziewuchy wycinają z różnokolorowych papierów „kołdry" i „tasiemce". Te same dłonie, które latem żęły, jesienią kopały, lub w buraczanej redlinie grzebały i — marzły, trudnią się teraz „artystyczną robotą", niby dłonie panienek „z wyższej sfery". I nie zesztywniały, widać, przy prostej robocie palce, skoro tak pięknie wycinać potrafią.

I to jest wprost godne podziwu!

Nietylko w łowickiem, jak wiadomo, lud trudni się robotami ręcznemi, lecz gdzieindziej wyrabiają przeważnie rzeczy i przedmioty codziennego użytku, a „estetyką" zajmują się chyba wyjątkowo tylko. W księstwie stroją świetlicę powszechnie i z bardzo nielicznemi wyjątkami, wszystkie tutejsze dziewczyny wycinają papiery mniej lub więcej pięknie i gustownie, dowodzi to, bezsprzecznie, *wyższego stopnia rozwoju* zmysłu estetycznego u tutejszych ludzi — a przynajmniej u t u t e j s z y c h dziewuch — aniżeli u mieszkańców innych stron k r a j u. Ten prosty wniosek znajduje zresztą potwierdzenie w znanem upodobaniu księżaków do strojenia się w barwne ubiory.

Z etnograficznego punktu widzenia, wycinanki księżackie należy uznać za pierwotną formę malarstwa. Jest to stopień pośredni między tatuowaniem i malowaniem ciała, a malarstwem właściwem.

D. ŻÓŁTYŃSKI.

Rysunki z oryginalnych wycinanek wykonane zostały w Zakładach Graficznych A. Hurkiewicz i S-ka.



Typ wiejski z Sieradzkiego (z teki barona Graeve).

Ukrainka (fot. am. pani M. Potockiej z Turbijówki).



WIERZBY.

Autorowi „Królewskiej Pieśni“ w odpowiedzi.

„Wierzby i wierzby“...—powiadasz i pytasz:
— Co ja tam widzę? i jaka mi dola,
Gdy ciasnych ulic rzuciwszy kurytarz,
Biegnę za mury westchnąć w szczere pola?
I o czem marzę pod wierzbnem ogłowiem?
. . . .
Żeś spytał duszą, więc z duszy odpowiem.

I Ty spotkałeś pewnie w swojej stronie
Nieraz, na błoniu smutne, wiejskie chłopię...
Nocą zgubiło siwki na wygonie,
Więc rankiem idzie o rosie, po tropie
Szukać swej zguby...
I ja swojej straty
Szukam po śladach, gdzie wierzby i chaty.

Tobie, śpiewaku od „Królewskiej Pieśni“,
Ten ślad się wyda może drobny, mały—
Tyś widział gaje stepowych czereśni,
Widziałeś laurem opowite skały...
Mnie dość! Gdzie polem powiewa wierzbina
Wiem, że się Polska kończy, lub zaczyna.

I idę witać każdy taki prątek,
Każdą latorośl, niby symboliczny
Naszej Piastowej krainy początek,
Albo odwieczny jej kopiec graniczny!
I tak mi dobrze z wierzbą nad ruczajem,
I tak oddycham—jak nigdzie...—za krajem!

I wiedz-że jeszcze, że ją kocham za to!
Iż, kiedy dęby giną od pioruna,
Gdy topór zmierzy w sosnę rosochatą,
Zetnie konary — to zostanie truna...
Ona, jedyna! w zimach, czy o wiośnie
W otwartem polu, jak Lud, zawsze rośnie!

Można ją złamać, można ściąć do pienia,
Można odrąbać wszystkie krze od karcza...
Jeszcze się silna odrodzi z korzenia
I stanie w polu, niby zielna tarcza
Nadziei...
Nic jej więcej nie potrzeba,
Prócz swojej ziemi i swojego nieba!

Za to ją kocham!
I rzeknę otwarcie,
Że ja, z Was bodaj najbardziej szlachecki,
Co także dumać umiałbym o Sparcie,
Mam całą duszę z wierzby mazowieckiej!
I ani kryję się z tem, ani wstydzę:
Że poza miedzą ojczystą nie widzę!

Ani się wstydzę!
Bo wiem, że ci moi,
W kołpakach rysich, z damasceńską klingą,
Co szli pod Chocim w szmelcowanej zbroi
Lub kładli kości w piaskach Sandomingo—
Ci mi tę małość z za grobu przebaczą—
Bo i za nimi moje wierzby... płaczą!

EL.

Złote gody.

Dn. 7 b. m. obchodzili rzadką uroczystość 50-letniego szczęśliwego pożycia pp. Bolesław i Helena z Dmochowskich Chrzanowscy. Jubilat jest właścicielem majątku Dziatkowskie w Siedleckiem i długoletnim prezesem Tow. Kredytowego w Siedlcach. W licznym orszaku znajdowało się pomiędzy innymi, czterech synów szanownej a zacnej pary: Ignacy, profesor wszechnicy Jagielońskiej, Aleksy, adwokat przysięgły z Siedlec, Zygmunt, dyrektor syndykatu rolniczego i znany działacz społeczny, oraz Bolesław, wychowaniec politechniki w Rydze.



Bolesław i Helena z Dmochowskich Chrzanowscy.

Wspomnienia z lat ubiegłych. (C. d.)

Nazajutrz grand' garde'a, złożona z 30 żuawów, o jaką wiorstę od Sosnówki, została zaczepiona przez dwie roty rosjan, wysłane na zwiady. Żuawi, cofając się w porządku i ostrzeliwając, pozostawili czas uszykowania się zaalarmowanemu oddziałowi. Oczywiście nieprzyjaciel zawrócił, ale tak on, jak i nasi mogli się przekonać, iż żuawi w największem niebezpieczeństwie potrafią stawić energiczny opór. Od strzałów zginął jeden towarzysz, którego pochowaliśmy na miejscu, przy silnej przemowie Rochebrun'a. Odtąd, gdziekolwiekbądź spodziewano się rosjan, zawsze przeciwstawiano im żuawów.

Po opuszczeniu Sosnówki udaliśmy się do Marchocic, gdzie spędziliśmy noc, zrana zaś ruszyliśmy dalej ku karczmie Antolce. W czasie tego marszu krążyły koło nas jakieś oddziały nieprzyjacielskie, byliśmy więc zmuszeni posuwać się w szyku bojowym, lecz do żadnej utarczki nie przyszło. Następną noc przespaliśmy w owej karczmie, a nazajutrz udaliśmy się przez Zareszyn do Chrobrza, majątku margrabiego Wielopolskiego. Tam odpoczęliśmy i pożywili się zdrowo, a nawet żuawi dobrali się do bogatej piwnicy i wypili kilkadziesiąt butelek wyborowych trunków. Nieprawdziwa jest wersja, jako byśmy zniszczyli całą piwnicę, gdyż ustawiona straż broniła od nadużyć; opuszczając majątek wręczyliśmy klucz zarządzającemu.



P. L. Cywiński w uniformie żuawów.

Langiewicz pozostawił nas chwilowo w Chrobrzu, żeby niedopuścić rosjan do niespodziewanego ataku przy przejściu mostu na Nidzie. Gdy już cały oddział i tabor wozów przeprawił się przez rzekę, wówczas przeszliśmy i my, poczem zapaliliśmy most. Kazano nam jeszcze bronić przystępu od wojsk, nadciągających z Miechowa pod ks. Szachowskim, co trwało długo, gdyż wilgotne belki nie chciały na razie spłonąć. Jednocześnie Langiewicz o dwie wiorsty sformował się na wzgórzach przeciw Czengieremu, który od strony Pinczowa w poważnej liczbie nadciągał. Żuawi, których było 300 i pluton kawaleryi w 40 koni, znaleźli się w wielkiem niebezpieczeństwie; jednakże nie opuściliśmy stanowiska, dopóki most nie zaczął na dobre płonąć. Byliśmy oddaleni od swoich o dwie wiorsty równego pola i łąk. Szachowski zbliżał się ku Nidzie, gdzie zastał palący się most, a z prawego skrzydła Czengierego strzały już do nas dochodziły. Wówczas Rochebrun, na czele kawaleryi, kłusem zaczął dążyć ku Langiewiczowi, a nam polecił biegiem toż samo uczynić, co widząc Czengiery wysłał szwadron dragonów przeciw nam. W biegu szybkim, mając z dwóch stron nieprzyjaciół, nie mogliśmy utrzymać porządku. Miałem przy boku sześciu podchorążych, lecz sam niosłem ciężką chorągiew, nie mogłem z nią nadążyć innym. W rozpa-

czy wbiłem jej trzon w ziemię i począłem wołać: „Nie warci jesteście tej chorągwi, kiedy jej odbiegacie; nie pozostaje mi nic innego, jak oddać ją dragonom!" Na te słowa cały oddział zawrócił ku mnie. Zakomenderowałem ognia do dragonów, odległych o jakie trzysta kroków. Cofnęli się też natychmiast. Rochebrun, słysząc strzały, przybiegł en carrière, wyciągnął rewolwer i krzyknął w wielkiej pasji: „Sacré nom de nom, M-r le porte-drapeau, vous n'avez pas le droit de commander!" Lecz podchorążowie otoczyli mnie, oświadczając, iż nie dopuszczą, aby spadł nawet jeden włos z głowy mej, gdyż jestem ich zbawcą. De facto, bez mojej interwencji, rozproszonych, jak byliśmy, dragoni z łatwością roznieśliby na szablach, a tym sposobem nietylko się cofnęli, ale Czengiery na całej linji wstrzymał bitwę, gdyż sądził, iż go bierzemy we dwa ognie, co mi w późniejszych czasach jeden z jego oficerów objaśniał.

Nieprawdą jest zatem twierdzenie Walerego Przyborowskiego, jakoby Rochebrun z nadzwyczajną przytomnością po kilka razy żuawów formował i dawał opór dragonom, przeciwnie, myśląc tylko o najszybszem doścignięciu Langiewicza, głowę stracił i pozostawił nas w rozsypce. Gdy zbliżaliśmy się do swoich, cały oddział z entuzjazmem wołał: „Niech żyją żuawi!", na co żuawi odpowiedzieli: „Niech żyje chorąży żuawów!"

Langiewicz jednak i sztab dziękowali Rochebrunowi za jego bohaterstwo.

Skierowaliśmy teraz nasze kroki ku folwarkowi Wełecz. Spotkała nas prawdziwa klęska, gdyż nieprzyjaciel odciął furgony z amunicją i pozostaliśmy tylko z nabojami w ładownicach.

Ks. Szachowski zdołał się przeprawić przez Nidę i dążył za nami.

Noc całą spędziliśmy w marszu, a nad ranem dotarliśmy do miejscowości zwanej Grochowiska, położonej wśród lasów. Dostarczano nam chętnie wołów i, gdyśmy, po spożyciu posiłku, odpoczywali, z trzech stron nadeszli Rosjanie: Czengiery w 16 rot, ks. Szachowski w 5 rot i major Rogoza ze Stopnicy w 2 roty. Wówczas Langiewicz odkomenderował oddział Czachowskiego przeciw księciu, resztę oddziałów zwrócił na lewe skrzydło, a przeciw prawemu wysłał żuawów. Nizkie zarośla dzieliły nas zaledwie od nieprzyjaciół; zanim zdołaliśmy je przebyć, kilkunastu zginęło od kartaczów. Straciłem dwóch podchorążych prawie jednocześnie, jeden zwalił się całym ciężarem na mą prawą nogę, drugi na lewą.

Rochebrun zakomenderował: „Biegiem! Na bagnety!" Żuawi powtórzyli w różnych językach, gdyż pomiędzy nami było wielu Węgrów, Francuzów i Włochów. Wytworzyło to straszną wrzawę. Wylękli Rosjanie odrazu pierzchnęli, pozostawiając dwie armaty w błocie.

Jednocześnie Czachowski zamienił nieco strzałów z księciem Szachowskim, poczem oba oddziały się cofnęły. Całkiem niespodzianie oderwał się Czachowski od wojsk naszych i poprowadził bez żadnego rozporządzenia swych ludzi do gubernji radomskiej, gdzie oddział urósł do tysiąca ludzi i trzymał się z pół roku.

W czasie bitwy zbliżyły się roty majora Rogozy i stanęły w lesie. Dragoni w zamęcie stracili orjentację i zaczęli strzelać do swej piechoty. Nazajutrz spostrzegli swą omyłkę. Rochebrun spotkał mnie i zapytał, gdzie główny dowódzca? Nie umiałem go objaśnić, dopiero adjutant dyktatora wskazał nam jego schronienie. Znaleźliśmy Langiewicza zaszytego w lesie ze sztabem i nie wiedzącego nic o przebiegu walki. Rochebrun zażądał stu kosynierów przeciw Rogozie.

Kierując się w stronę, gdzie poprzednio słyszeliśmy strzały dragonów do piechoty, gęsiego, część żuawów naprzód, w środku kosynierzy, z tyłu znów żuawi — dotarliśmy do polanki, gdzie stała siódma rota Rogozy. Kosynierzy ruszyli na nieprzyjaciół, a choć zwykle tchórzliwi, tym razem, zmuszeni koniecznością, dzielnie się sprawili i wycięli całą rotę. Wzięliśmy do niewoli jednego oficera i czternastu żołnierzy, którzy nam się oddali.

Już szaro było, gdyśmy powrócili na pierwsze pobojowisko, aby pozbierać rannych. Wśród nich znajdował się major hr. Komorowski. Poczem, według rozporządzenia, zebraliśmy się koło folwarku Wełcza. Wszedłem, niezmiernie znużony, do kwatery dyktatora, dokąd zawsze miałem wstęp wolny. Znalazłem sztab niezmiernie zajęty. Langiewicz zapytał, czy wielką ponieśliśmy porażkę. Odpowiedziałem: „Jeśliśmy zdobyli plac boju, jeżeliśmy rannych naszych zabrać mogli i jeżeli na błotach czekają dwie porzucone armaty, chyba nie powinniśmy się uważać za pobitych".

I usiadłem przy kominku, gdzie zaraz sen mnie zmorzył.

Budzę się rano. Pokój pusty i absolutna cisza. Wybiegam przed dom, pytam, co się stało. Powiadają, że Langiewicz ze sztabem i szwadronem kawalerji odjechał.

Pozostawił tylko rozkaz, aby oddział podzielić na trzy części. Rochebrun miał na czele pierwszej maszerować koło Kielc, Czachowski objąć drugą i poprowadzić ją w sandomierskie, a brygadjer Śmiechowski z trzecią udać się pomiędzy granicę austryjacką i pruską, dla odciągnięcia sił rosyjskich za sobą i ułatwienia dostawy broni i prowizji z tam-

tych zaborów. A że Czachowski oddalił się samowolnie podczas bitwy, Rochebrun zaś, na wiadomość o wyjeździe sztabu, począł wołać, iż to jest zdrada i sam, nie zważając na nasze prośby, opóścił nas — pozostał tylko brygadjer Śmiechowski.

Ten zwinął oddziały i ruszył w drogę w liczbie zmniejszonej do trzech tysięcy, gdyż reszta, idąc za przykładem wodzów, rozbiegła się.

Przenocowaliśmy w Czarkowach, majątku Pusłowskich. Nazajutrz ruszyliśmy ku Wiśle, ścigani przez Czengierego, który już był poinformowany o braku organizacji pomiędzy nami.

Nadeszła wiadomość, że Langiewicz z całym sztabem został aresztowany przez władze austrjackie. Jak utrzymują, miał zamiar dostać się przez Galicję w lubelskie.

Smutne wieści odebrały resztę otuchy, oddział nasz nadal topnieć nie przestawał. W przechodzie, niedaleko Opatowa, dano nam znać, że Rosjanie pijani leżą na rynku bez przytomności. Wtedy ja i kilku innych oficerów żuawów udaliśmy się do brygadjera Śmiechowskiego z żądaniem, aby nam powierzył z pięciuset ludzi, a wpadniemy znienacka na śpiących. Lecz odmówił, mówiąc, że jedynym naszym celem jest dążenie do granicy. Choć oddział cały byłby poszedł na nasze wezwanie, nie chcieliśmy zmniejszać i tak nadwątlonego rygoru, więc zaniechaliśmy projektu.

Nad wieczorem stanęliśmy na granicy. Stamtąd wysłano dwóch delegatów do Krakowa z prośbą o amunicję i z poleceniem odszukania Mierosławskiego, gdyż chcieliśmy pod nim wrócić w głąb kraju. Znany z niespokojnego ducha, miał pewien urok oryginalności i był obznajmiony ze sztuką wojenną. Delegaci wrócili z niczem, przywieźli tylko odpowiedź, że Mierosławski wkrótce przybędzie.

Nagle uderzył na nas Czengiery. Bronić się nie było czem, więc w półtora tysiąca ostatków przeszliśmy do Galicji.

Austrjacy rozbroili połowę, a reszta rozbiegła się i zdążała każdy na swą rękę do Krakowa. Zabraliśmy ze sobą więźniów rosyjskich, których również aresztowano.

Z kilkoma towarzyszami schroniłem się do chłopskiej stodoły, a gdy przyszli Austrjacy i kłuli bagnetami po słomie w poszukiwaniu, zaszyłem się tak głęboko, iż nie mogli mię znaleźć.

W Krakowie wrzało, jak w ulu, zebrało się kilka tysięcy powstańców z różnych oddziałów, jak również i tych, którzy świeżo uniknęli Austrjaków. Aresztowanych trzymano w Reitschuli, a gościnni mieszkańcy większą część żywili. Najpierwsze domy dobijały się o żuawów. Było nas blisko dwustu, wszyscy oficerowie ocaleli, mogliśmy więc utrzymać i tutaj naszą organizację.

Rochebrun odjechał do Paryża ogromnie zniechęcony. Przed wyjazdem ściągnął go do siebie Mierosławski, pokazał mu swą nominację na dyktatora od partji demokratycznej emigracji, utrzymując, iż Langiewicz był przywłaszczycielem i że on, jako dyktator prawdziwy, potwierdza rangę Rochebruna i robi go dowódzcą resztek oddziału po Langiewiczu. „Pan byłeś zawsze prawdziwym jego zastępcą — mówił — udaj sie więc do generała Wysockiego, mianowanego ministrem wojny przez Rząd Narodowy, zażądaj oddania władzy w swe ręce, a następnie zdaj ją mnie.

Francuz, odurzony tym projektem, poszedł do Wysockiego i z całą arogancją wymagał powierzenia mu największej władzy nad powstańcami, generał jednak z najzimniejszą krwią wyrzucił go za drzwi. Rozgniewany Rochebrun natychmiast Kraków opuścił. Podobno przedstawił się księciu Napoleonowi w mundurze żuawskim i był bohaterem dnia w Paryżu.

W późniejszych czasach, gdy ministerstwo wojny przeszło na generała Kuszewskiego, Wysocki zaś miał formować oddział we Wschodniej Galicji dla wkroczenia na Wołyń, Rząd Narodowy wezwał Rochebruna, aby utworzył z resztek wyborowy oddział żuawów.

(D. c. n.) LUDOMIR CYWIŃSKI.

SPORT I HODOWLA.

DWUTYGODNIK ILUSTROWANY.



OBRĘBY I PARKI ZAJĘCZE

przełożył z niemieckiego Wiktor Stephan.

Aby zniszczony zwierzostan zajęcy podnieść w możliwie najkrótszym czasie, zaleca się hodowlę zajęcy w obrębach.

Wogóle mało jest okolic, które się do hodowli zajęcy nie nadają. Wiadomo, że zając zwyczajny w klimacie umiarkowanym i żyznych okolicach, prosperuje i rozmnaża się najlepiej, chociaż klimat



Wilczek tresowany (z teki p. S. z Poznańskiego).

zimniejszy przekłada nad gorący. Najwięcej sprzyjającą okolicą dla zajęcy są grunta pszenne, łany zasiane pszenicą i jęczmieniem, szczególnie jeżeli mają remizy lub zarośla, które dają im dobrą ochronę przeciwko drapieżnikom i wpływom atmosferycznym.

Na żyznych równinach, a także na terenie falistym, w których żyzne pola poprzerzynane są łąkami i zaroślami naprzemian, gdzie zając natrafia na największy wybór pożywienia, — stan zajęcy i bez troski o jego hodowlę utrzyma się zawsze ilościowo na dobrym poziomie.

Natomiast na piasczystych równinach, pomimo najlepszej ochrony, nigdy ilościowo znacznie się nie rozmnoży; więc też takie okolice nie nadają się do zakładania obrębów zajęczych.

Zając postępuje za kulturą i, rzeczywiście, w rozległych lasach jest go mniej, aniżeli w okolicach o uprawnych gruntach. Widocznie kultura nie przeszkadza mu tak, jak innej zwierzynie.

Zając lubi jak największą rozmaitość pożywienia; tam więc, gdzie większą różnorodność znajduje, zatrzymuje się chętniej.

Już dawno nie ulega żadnej wątpliwości, że rozmnoża zająca zależną jest głównie od składu gruntu i jego położenia; szczególnie wstrętne mu są wysokie i zimne pozycje.

Dietzel w swem dziele „Niederjagd“ tak o tem mówi: „Najbliższa okolica „Würzburga“ daje nam na to najlepszy przykład. Wszystkie rewiry z prawej strony Menu mają znakomity zwierzostan, zaś z lewej jest rozmnoża widocznie słabsza, tak dalece, że potrzeba dwuletniej ochrony, aby zwierzostan utrzymać na dobrej stopie“.

Do niektórych pozycji ma zając widoczne zamiłowanie, do innych znowu zdecydowaną niechęć, tak, że nawet w okolicach o dobrym zwierzostanie— są miejsca, na których wyjątkowo tylko można zająca spotkać i, przeciwnie, trafiają się miejscowości, w których niema ochrony, ani starania o zwierzynę, a przecież powiedzieć można, że jeżeli wogóle znajduje się jeszcze jeden zając, to będzie właśnie na tem miejscu. Przyczyna tego zjawiska leży wyłącz-

nie w temperaturze gruntu, którego stopień ciepłoty, lub chłodu, szczególnie zającowi sprzyja. Dla zająca mianowicie, zimny grunt, pomieszany z wapnem, lub gipsem, jest wstrętny.



Polowanie z puhaczem na jastrzębie (fot. am. hr. Józefowej Wielopolskiej).

Wszystkie te okoliczności należy brać przy zakładaniu obrębów zajęczych pod uwagę, jeżeli chcemy mieć dodatnie rezultaty.

Oprócz gruntu i klimatu, należy mieć na oku także roślinność tej okolicy.

Kto więc obręby zajęcze chce zakładać, niechaj obierze do tego możliwie równy teren, lub i falisty, ale żyzny kawałek, przetknięty remizami i t. p. i różnorodność paszy aby była zapewniona. Szczególnie nizkie, osłonione i ciepłe położenie z gruntem przepuszczalnym jest do zalecenia.

Gdzie niema zarośli, lasków, lub naturalnych remiz, należy zakładać sztuczne. Grunt, szczególnie zimny, z dużą domieszką gipsu, lub wapna, nie nadaje się do zakładania obrębów. Tak samo niziny bagniste—szczególnie, jeżeli przez nie przepływa rzeka, są z powodu zalewów nieodpowiednie.

Miejscowość około 35-morgowa, zarośnięta gęsto sosną, jałowcem, żarnowcem, gdzie sosny są strzyżone na wysokości 4 do 5 stóp, a to wszystko otoczone uprawnem polem na kilkaset morgów i łąkami z przepływającemi mniejszemi wodami, nadaje się najlepiej do założenia obrębu, szczególnie, jeżeli na polu znajdują się tu i tam zarośla.

Kiedy w mowie będące miejsce jest przygotowane i zarośla osiągnęły żądaną wysokość, puszcza się zające, sprowadzone w tak zw. skrzynkach zajęczych.

Tu trzeba zwrócić uwagę na prawidłowy stosunek płci, aby na jednego samca przypadło najmniej cztery, a nie więcej, jak sześć samic. Jest bowiem wielokrotnie doświadczeniem stwierdzone, że nie tępienie szkodników, lub zakładanie remiz w pierwszym rzędzie zapewnia liczbowo wysoki stan zajęcy, lecz wzajemny stosunek płciowy.

Wszystkie zające, które do obranego obrębu zajęczego wpuścić zamierzamy—nie mogą być razem puszczone, lecz stopniowo, gdyż wówczas łatwiej się uspokajają.

Przy założeniu jednak podobnego obrębu, należy zaraz z początku wypuścić kilkaset par zajęcy, jeżeli przyrost przez ochronę takiego obrębu ma być widoczny.

Najwłaściwszym czasem do wypuszczania zajęcy jest wiosna i to w takich dniach, kiedy powietrze jest zamglone, a niebo pokryte chmurami.

Rozumie się samo przez się, że podobny obręb założymy nie przy granicy rewiru, lecz w środku posiadłości.

Jeżeli więc mamy obręb zajęczy według powyższego założony, to nie pozostaje nam nic więcej do zrobienia, jak przestrzegać dalej przepisów, które są zawarte w pielęgnowaniu upadłego zwierzostanu. Osobliwie zwrócić uwagę na kłusowników i tępienie drapieżników, a podczas zimy intensywnie żywić.

W roku założenia, najlepiej polowania nie urządzać, a jeżeli ono być musi, to starać się o roztropny odstrzał. Już mówiliśmy, że skład gruntu wywiera na obszar taki sam wpływ, jak rodzaj zwierzyny, który hodować zamierzamy. Dobry grunt może nietylko wogóle więcej zwierzyny wyżywić, aniżeli lichy, ale niektóre gatunki zwierząt, jak kuropatwy i zające, utrzymują się w większej liczbie tylko na dobrych gruntach — na nich się silnie rozmnażają i nie opuszczają ich. Im grunt jest lichszy — tem rewir musi być większy, aby utrzymać samodzielny zwierzostan i emigracyę powstrzymać. Zając utrzyma się na niewielkiej przestrzeni, jeżeli na niej znajdzie odpowiednie sobie pożywienie, remizy i t. p. schroniska na zimę, podczas której będzie nadto żywiony. Daremne bowiem byłyby wszelkie koszty, jeżeliby zające miały wyemigrować! Za-



Wyczha! Heź-go! (Fot. Sarjusz-Wolski).

jące zaś przenoszą się do innej miejscowości, jeżeli się je płoszy ciętymi psami, jeżeli jest obawa powodzi, lub w ostre, długie zimy z powodu braku pożywienia. Aby więc emigracyi przeszkodzić, należy wszelkiego szczucia psami zaniechać, a jeżeli powodziom nie możemy zapobiedz, to zakładajmy żywność na zimy i róbmy wszystko to, cośmy wyżej powiedzieli.

Zające emigrują, gdy im skład i położenie gruntu nie odpowiada, więc w takich pozycjach nie należy zakładać obrębów, gdyż puszczone zające jednak by wyemigrowały.

Tak samo w położeniu bagnistem, zwłaszcza, gdzie rzeka przepływa i jest obawa powodzi, nie należy obrębów zakładać.

Dietrich zaleca, aby zapobiedz emigracji zajęcy podczas zimy, zadawać oprócz owsa, pszenicy, marchwi, buraków, grochówek, także nieco gotowanego jarmużu w polu, a w lesie, świeżo cięte gałęzie gruszy, moczone przez 23 godziny w ropie ze śledzi. Wprawdzie sposób ten nie jest wypróbowany, tak sławnemu jednak myśliwemu można ufać. Aby zające skłonić do pozostania na miejscu, t. j. aby nie emigrowały, lub żeby z ościennej okolicy je przyciągnąć, zaleca się zadawać między innemi pietruszkę, jarmuż, jak niemniej rzepak, który ma dla zwierzyny szczególną siłę przyciągania. Rzepak uprawiać przy granicach terenu, aby z sąsiednich rewirów zające przywabić.

Inne środki do przynęcania zajęcy są:

Siekaną drobno pietruszkę urabia się z ośródką chleba, z domieszką kopru włoskiego, na kulki i rozkłada po rewirze. Czerwony jarmuż ma być też dobrym środkiem do przywabiania zajęcy.

Pietruszka jest dla zajęcy przysmakiem i jeżeli ją poukładamy w małe kopczyki po rewirze — to można zające nawet z daleka przywabić. Jeżeli zresztą pilnie będziemy zadawać w ciągu zimy karmę, to można zające z ościennych rewirów przywabić, w których bardzo mało karmy zadają. Wówczas jednak należy zające na granicach odstrzeliwać, zaś wewnątrz rewiru zachować spokój, aby własny zwierzostan ochraniać, a przybyszom zapewnić spokój i skłonić do umiejscowienia. Jeżeli mamy rewir odpowiedni i po myśliwsku go traktować będziemy, a w ościennych rewirach zające nie są szanowane, to wkrótce przybyłe, będą stanowiły zwierzynę stałą.

Aby upadły zwierzostan znowu podnieść, można nie zakładać obrębów w opisanym powyżej rozmiarze, które z reguły zakłada się tam, gdzie zwierzostan z jakichkolwiek przyczyn został zupełnie zniszczony, a tylko puszcza się poprostu pewną liczbę zajęcy, którą łapie się w miejscach o dobrym zwierzostanie, lub w ogrodach zajęczych w sieci i w skrzynkach, przeznaczonych do przewozu na miejsce przeznaczenia, wypuszcza. (D. c. n.)



Jamniki (fot. am. p. Z. Dąmbskiej).

SEROCZYN

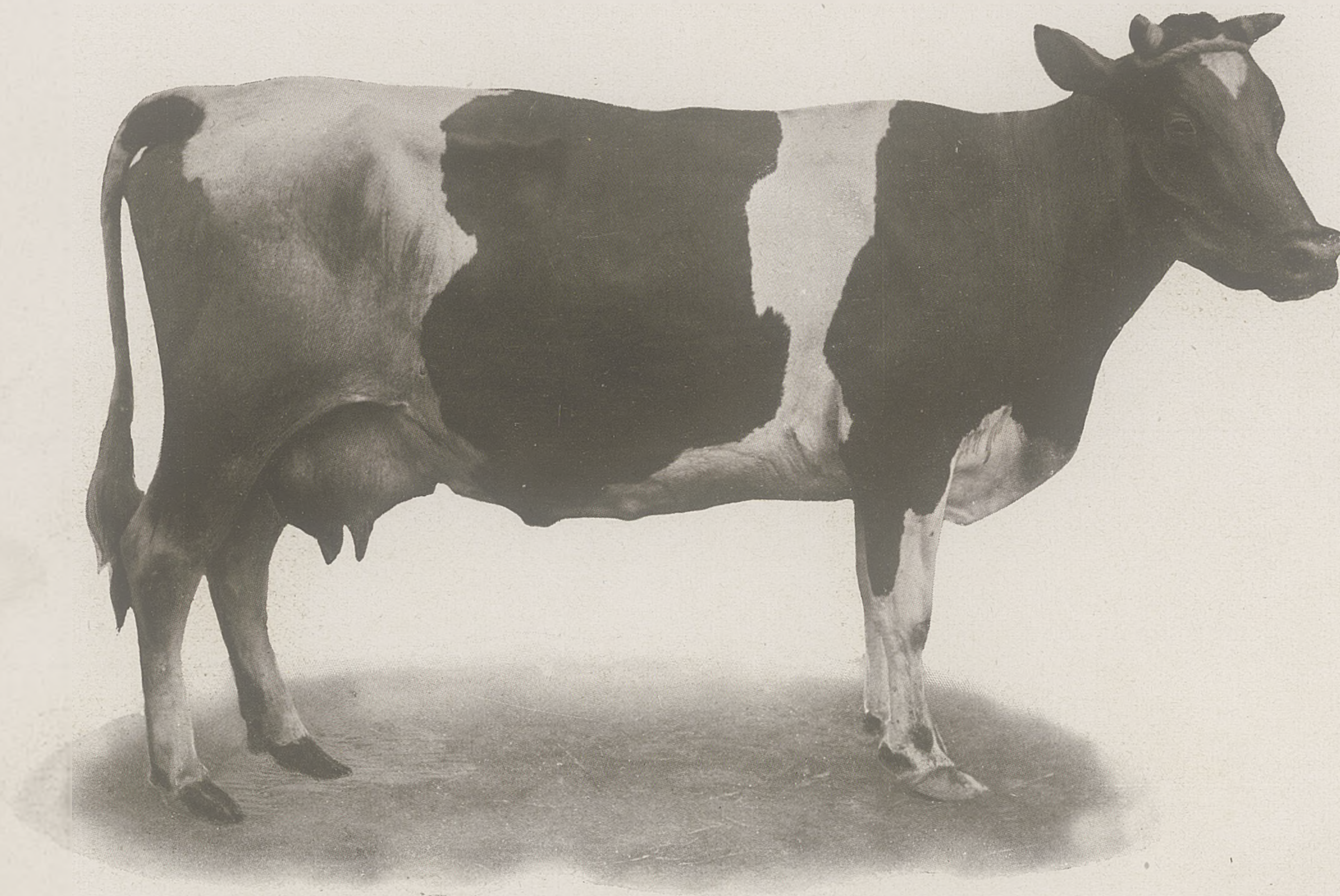
poczta Stoczek, gub. Siedlecka.

Właściciel EDMUND WERNER

W r. 1877 zwiedziłem Seroczyn, gdzie nabyłem tryki rasy negretti. Wówczas majątek ten przedstawiał się zupełnie inaczej, jak dzisiaj. Gleba piaszczysta, sapowata, nieprzepuszczalna; łąki bagniste, dające kwaśną osokę, zalane wodą z rzeki Świdra, zakwaszone.

Dzisiaj wygląd powierzchowny gleby zmieniony, piaski wymarglowane, sadzawki wyszlamowane, sapy osuszone zapomocą drenów prymitywnych z kamienia i drągów olszowych, które od lat 30-tu wywierają wpływy zbawienne. Obecnie przeprowadza się drenowanie sączkowe. Orka płaska, gleba zasila się nawozami mineralnymi (sztucznymi). Obornik prześcielany torfem. Łąki zniwelowane, osuszone rowkami w szachownicę i w przeciągu 23 lat zasilane trzykrotnie kompostem. Z sąsiadami włościanami przeprowadzony został układ co do wyprostowania rzeki granicznej Świdra, przez co zyskało się lepszy spad wody do młyna turbinowego, a od rozlewu rzeki chroni wał usypany. Zamiana służebności z 93 osadami, przeprowadzona od lat 20-tu. Karczmę zastąpiła szkoła, w której dziatwa sług dworskich uczy się bezpłatnie. Od lat 10-ciu służba niższa folwarczna, ubezpieczona w kasie „Rolników i Ogrodników", w b. r. otrzyma składkę, przez właściciela majątku wnoszoną, wraz z %. Niektórzy pracownicy otrzymają 50 rb. z górą.

Budynki stare zastąpiły częścią kamienne, częścią z cegły, żelaza i cementu. Obora na sto kilkadziesiąt sztuk bydła, obszerna, widna i hygieniczna.



Obora zarodowa w Seroczynie. Dójka (fot. spec. „Wsi i Dworu").

Pasza dowozi się do żłobów kolejką; nawóz wywozi się również kolejką. Krowy poją się wodą, przeprowadzoną rurami ze studni wierconej, umyślnie na ten cel. Wywar dopływa rynną do obory.

Obszar majątku 85 włók, w tym lasu 43 włóki. Cięcia poręb wstrzymane od lat 8-miu. Las oczyszcza się z suszek, które służą za opał wraz z torfem miejscowym, którego majątek posiada grube pokłady w dobrym gatunku. Łąk dwukośnych 170 mórg. Trzy folwarki. Gorzelnia na milion dwakroć. Kartofle własne w ilości dostatecznej. Dochód brutto z trzech lat ostatnich około tysiąca rb. z włóki ornej ziemi.

Obora 100 krów rasy holenderskiej, urodzonych w kraju, po buhajach wywodowych, odświeżona w 1909 r. 9-ciu krowami wywodowymi. Wydajność mleka przeciętna w r. 1909 z całej obory 3625 lit., włącznie z 27 jałowicami. Nabiał sprzedaje się śmietanką przegotowaną, następnie oziębioną. Odpadki zjada chlewnia. Od r. 1906 cielęta jałówki nie idą na rzeź, nabywają je hodowcy i włościanie. Owczarnia zniesiona w 1886 r. Chlewnie duże; yorkshire'y sprzedaje się prosiętami, karmnikami zaś, o ile zbywają od potrzeb domowych.

Hodowla koni szlachetnych pół-krwi, założona przez dziada, prowadzoną była przez ś. p. ojca teraźniejszego właściciela z zamiłowaniem. Obecnie klaczy matek rosłych szlachetnych pół-krwi 8, roboczych rosłych, z dużą domieszką krwi zimnej—10. Sprowadzony ogier 4 l., „Tomson", angielskiej rasy „shiere", roboczy, gniady, jest za ciężki do klaczy miejscowych, zastąpi go lżejszy pół-krwi „klydesdale", ze stada kordelówieckiego na Podolu. Celem hodowli będzie wytwarzanie doraźne silnych koni roboczych i przyszłych klaczy-matek, o ile się takowe uda wyprodukować. Drogi dojazdowe w pola i do folwarków połączone są szosami, nawet przez pola włościańskie, kosztem właściciela.

Pod kierunkiem teraźniejszego właściciela wykształciło się praktycznie z górą 20 młodych ludzi w Seroczynie. Dzielna młodzież ubiega się o praktykę w tej *twardej szkole.* Tym, którzy mówią, że „Seroczyńska szkoła zniechęca dużo młodzieży", odpowiem, że w Poznańskiem przechodziliśmy taką samą szkołę i tej wielu nie wytrzymywało, a ci, którzy ją przebyli, nie żałują tego! Edmund Werner „praktykuje" 40-ty rok od świtu do nocy i dał dowód, że *małymi środkami, do wielkich celów dojść można!*

A. WILKOŃSKI.



Obora zarodowa w Seroczynie. Buhaj (fot. spec. „Wsi i Dworu").



Nieco o pokazie drobiu w Warszawie w 1912 r.

Najodpowiedniejszym dla kobiet i najlepiej przez nie prowadzonym działem gospodarstwa wiejskiego, jest dział ptactwa domowego. Racjonalna hodowla drobiu znajduje też u nas w Królestwie Polskiem coraz większe znaczenie. Aby przedstawić postęp w tej dziedzinie pracy niewieściej, Ziemianki urządziły bardzo ładny pokaz najróżnorodniejszych ras kur, gęsi, kaczek, indyków, gołębi i królików.

Wystawa, pomieszczona została na terytorjum Towarzystwa prawidłowego myśliwstwa.

Ogólną uwagę zwracały okazy przysłane przez panią Padarewską z Riond Bosson, w szczególności Orpingtony białe (kryształowe) imponujące ogromną postawą. Z ras ogólno-praktycznych, rozpowszechnionych u nas, licznie reprezentowane były Wyandotty białe. Śliczne gniazdo takich kur wystawiła p. Irena Ryxowa z Ołtarzewa. Efektowne i modne obecnie Orpingtony żółte, choć mniej praktyczne od innych ras, również miałby wielu przedstawicieli. Wystawiona też była nowa rasa polskich kur Zielononóżek. Zdaje mi się jednak, że nie jest to jeszcze rasa ustalona, gdyż gniazda, a było ich parę, różnią się nieco od siebie. Bywa czasem, że wylęgają się z zupełnie odmiennem upierzeniem. Jako dobrą mięsną rasę należy uważać, znane dobrze na



(Z teki p. Dorożyńskiej).



Sielanka w Teleżyńcach na Podolu.

zachodzie: Faverolle i Hondany, tych ostatnich jednak nie było na wystawie. Dość pospolite są Langshany, rasa kur wielka, choć nie wszędzie dobrze się aklimatyzująca np. w miejscowościach wilgotnych nie nadaje się, gdyż choruje na reumatyzm, który objawia się grubieniem stawów w kończynach. Z ras ogólnie uznanych za najnieśniejsze były Minorki czarne i białe, nadto Włoszki kuropatwiane. Jeżeli idzie o jaknajwiększą produkcję jaj, to Minorki nadają się najlepiej.

To też w większych gospodarstwach, gdzie jest w użyciu sztuczny wylęgacz, rasa ta, najwięcej popłaca. Jak wiadomo, ani Minorki, ani Włoszki zupełnie nie wysiadują, mogą więc znosić więcej jaj, aniżeli kura, która traci czas na wysiadywanie i wodzenie. Niosą one jaja duże, kształtne, wielkości prawie kaczych. Na Pomorzu i w Prowincjach Nadbałtyckich sprzedają jaja Minorek na wagę, co najlepiej świadczy o ich wielkości.

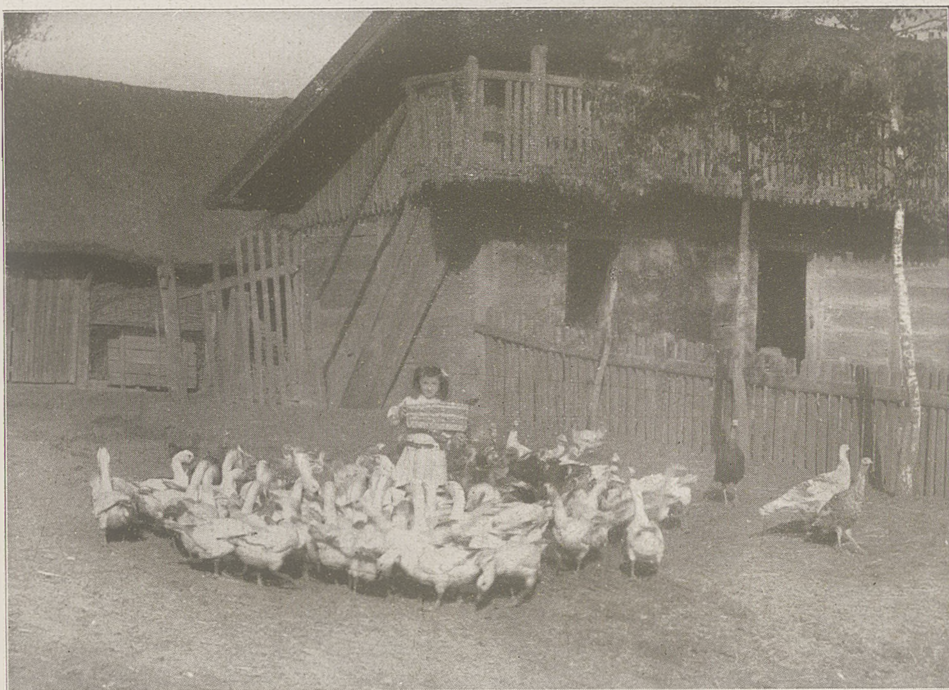
Pozostaje jeszcze wspomnieć o pięknych gęsiach Emdeńskich hr. Platerowej i innych hodowczyń, które ze względu na swoją wielkość i piękny puch, coraz więcej się rozpowszechniają, to samo można powiedzieć o kaczkach Pekińskich, które są znacznie większe od zwyczajnych i doskonale się tuczą. Prócz powyżej opisanego drobiu, zwracały ogólną uwagę wspaniałe okazy indyków, wielka ilość gołębi i królików, z których wyróżniała się hodowla z Kąt p. Przyłubskiego.

Należy życzyć, aby gosposie na wsi uznały potrzebę uszlachetnienia ras drobiu i wprowadziły to w życie, jak wielkie gospodarstwa rolne, wprowadziły racjonalny chów koni, bydła rogatego, i trzody chlewnej.

ANNA DRĘGE'ÓWNA.







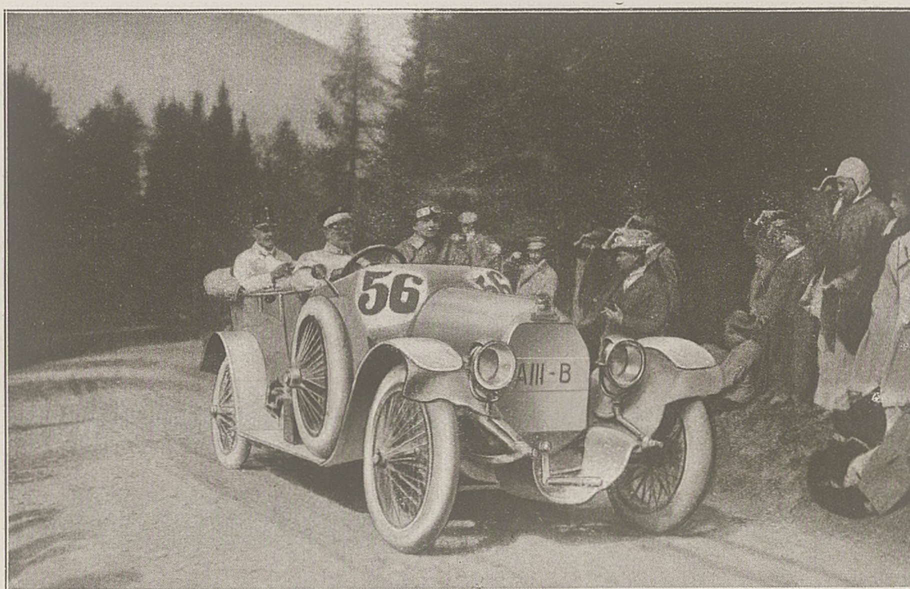
Gospodarstwo fartuszkowe (fot. am. p. A. Urbańskiej z Czeremoszna, na Podolu).
Indyki (fot. am. p. Z. Dąmbskiej).
Mała gosposia (fot. am. p. Juljuszowej Ślaskiej z Broniszowa).

Sport samochodowy.

Jak wszystkie na lokalnych warunkach oparte nowoczesne nabytki zachodu, automobilizm przyjął się u nas dość późno i powoli tylko zdobywa sobie teren. Przyczyny są rozmaite: brak fabryki samochodów w Królestwie, kosztowność kupna i utrzymania w porównaniu z lokomocją krajową, anormalne warunki pośrednictwa, fatalny stan dróg, szos i bruków w najbogatszych właśnie i najbardziej zaludnionych okolicach, wreszcie od tych wszystkich przyczyn zależne słabe zamiłowanie w sporcie automobilowym.


Przed pałacem w Choloniowie, dobrach hr. Krasickiego, na Wołyniu (z teki p. Walewskiego).

Kto na zachodzie utrzymywać musi jedną lub dwie pary koni wyjazdowych i dwa lub trzy powozy, ten wychodzi lepiej, kupując sobie samochód o niewielkiej sile koni. Udoskonalona jego konstrukcja umożliwi mu przebywanie po gładkich i równych drogach z łatwością 30—50 km. na godzinę, a to dla przeciętnego właściciela automobilu, w dzisiejszem pojęciu jego przeznaczenia, zupełnie wystarcza. Lekkość wozu zaś przyczynia się do trwałości części maszynowych i małego zapotrzebowania w benzynie, smarach i oponach, co jest przecież stałym i koniecznym warunkiem w budżecie samochodowym.



Samochód Austro Daimler Arcyksięcia Karola Franciszka Józefa, zdobywcy nagrody Wiedeńskiego Automobil-Klubu w 1912 r.

Więc gdy fabryki zachodnie, ulepszając z dniem każdym konstrukcję motorów, czynią wszelkie wysiłki w kierunku zestawiania maszyn o 6 do najwyżej 20 K. M., u nas zaczyna się samochód właściwie dopiero od 24 K. M., a największym popytem cieszą się motory daleko silniejsze, 30, 40 i 50 konne, nie brak nawet amatorów na maszyny o sile 70 i 90 koni. Oczywiście zużywa taki automobil daleko więcej oporu, benzyny i smarów, a ulegając na złych drogach, mimo najlepszej woli kierownika, częstym wypadkom, staje się przedmiotem luksusowym, dostępnym jedynie dla ludzi majętnych. Dodać jeszcze trzeba, że wszystkie niemal części zapasowe, począwszy od resorów, a skończywszy na latarniach, sprowadzać trzeba z za granicy, co przy dalekim transporcie i cle znacznie je podraża.

Przeciętnym u nas typem samochodu jest wóz silnie zbudowany, z wzmocnionymi resorami i podwyższonem podwoziem, karoserją sześcioosobową i dachem ruchomym. Automobile tego rodzaju są z natury rzeczy dość ciężkie. Na względnie możliwych drogach, ciężar ten wyrównywa się siłą motoru, lecz gdy wypadnie przejazd—niestety bardzo często—przez piasek lub grzązkie błoto, maszyna tonie po osie i, jak na Podolu lub Ukrainie, powraca wtedy do dawnej godności wół pociągowy, którego ośm par bezsilnego współzawodnika na suchsze wyciąga miejsce.

Mimo to, popyt na samochody rośnie z roku na rok. Szybka jazda, niezależność od miejsca i godziny, umiejętność i wprawa w prowadzeniu maszyny—to wszystko nęci i pociąga, zwłaszcza właścicieli ziemskich, do nabywania samochodów, nieodzownym jest wszakże warunkiem, aby, chociaż z przerwami, przy sterze siedział sam właściciel. Dopiero wtedy bowiem odczuwa pełną przyjemność swobodnej i szybkiej jazdy, a ćwicząc oko, słuch i sprawność umysłu, prawdziwą odczuwa przyjemność sportu.

Koniecznem jest również, aby jako tako znał konstrukcję maszyny, w dzisiejszym jej stanie dla laika dość zawiłą,

jeżeli się zważy, że podczas jazdy pamiętać musi o motorze samym, jego odżywianiu benzyną i oliwą, o zapłonie, karboratorze, gumach i pneumatykach, generatorze, akumulatorze, acetylenie i innych „drobnostkach“, co wymaga pewnej znajomości przedmiotu i wprawy. Kto zaś chce zdać się na łaskę niezawsze sumiennego szofera, ten równa się ziemianinowi, który nie zna się na koniach, a dobraną czwórkę mieć i zachować pragnie.

Wielkie zasługi dokoła rozwoju sportu samochodowego ma Tow. Automobilistów Królestwa Polskiego, na którego czele stoi Wł. ks. Drucki Lubecki. Założone w r. 1909 liczy dzisiaj 140 członków, przeważnie właścicieli samochodów i sportsmenów. Jego dziełem jest memorjał przeciw opodatkowaniu samochodów podług przebytych wiorst, praca nad wydaniem mapy dróg Królestwa Polskiego, wyrabianie tryptyków, czyli paszportów samochodowych na wolny przejazd granicy, starania nad unormowaniem nauki, kontroli i warunków szoferów, wreszcie popieranie wszelkich zabiegów w zakresie sportu automobilowego. Klub wziął, oprócz tego, pod swój protektorat szkołę szoferów i amatorów jazdy samochodowej C. Zakrzewskiego. Wyrażone pod adresem Tow. Automobilistów życzenie, aby, celem spopularyzowania samochodu, jego konstrukcji współczesnej i historji, urządził kilka odczytów z demonstracjami, przy pomocy obrazów świetlnych, wydaje się uzasadnionem i słusznem.

Ogółem liczyć możemy w Królestwie około 500 samochodów, przeważnie osobowych; kilka dopiero pomiędzy nimi jest ciężarowych i autobusów. W normalnych warunkach cyfra ta powinna przekraczać conajmniej 1000, a wobec słabej komunikacji kolejowej, zwłaszcza omnibusy automobilowe i samochody ciężarowe większym powinny cieszyć się pokupem. Podpada np., że dotąd w Warszawie i na prowincji żaden lekarz nie posiada, celem szybkiego odwiedzania chorych, własnego samochodu, podczas, gdy na zachodzie istnieją nawet osobne kółka konsyliarzów „automobilowych“.

Klub automobilistów rozważa pilnie projekt założenia krajowej fabryki samochodów; zamiar urządzenia na wiosnę przyszłego roku wyścigów z udziałem sił lokalnych, celem wykazania wytrwałości maszyn na dłuższym dystansie, oraz dążenia do zorganizowania sprawnej, sumiennej i fachowej służby samochodowej, wskazują na to, że wyszliśmy już z okresu, w którym automobil uważało się za niebezpieczną zabawkę do narażania życia w szalonem tempie jazdy, a wchodzimy w fazę racjonalnego użytkowania tak cennego i pożytecznego środka lokomocji.

TADEUSZ JAWORSKI.

Z KRONIKI SPORTOWEJ.

PROTOKÓŁ OGÓLNEGO ZEBRANIA
członków Tow. W. K. w Król. Polskiem.

Zebranie ogólne członków honorowych i rzeczywistych Cesarskiego Towarzystwa Wyścigów Konnych w Królestwie Polskiem, drugie z kolei w sezonie bieżącym, odbyło się pod przewodnictwem vice-prezesa, p. F. Jurjewicza, we wtorek 15 października.

W zebraniu wzięli udział: pp. A. Wysocki, W. Reszke, M. Tabęcki, A. Bychowiec, B. Wydżga, A. margr. Wielopolski, Alfred hr. Morstin, M. hr. Zamoyski, J. Komierowski, Andrzej hr. Morstin, S. Wotowski, S. Ułaszyn, A. Daszewski i J. Radoszewski.

Przewodniczący przedstawił sprawozdanie ze stanu finansowego Towarzystwa w sezonie jesiennym wyścigów, stwierdzając powiększenie rozegranych nagród, osiągniętych dochodów na rachunku totalizatora i na rachunku Towarzystwa w porównaniu z rokiem zeszłym.

Do Komitetu do spraw wyścigowych przy Głównym Zarządzie Stadnin Państwowych zostali wybrani pp. margrabia Wielopolski, pułkownik Luce, Stanisław Wotowski i Kazimierz Stolpe.

Zgodnie z wnioskiem Dyrekcyi, szczegółowo umotowywanym, określono następujące sumy nagród na rok 1913. W sezonie wiosennym na 12 dni wyścigowych przy 6 gonitwach dziennie rb. 81,900, w sezonie jesiennym na 16 dni wyścigowych przy 7 gonitwach dziennie rb. 130,000, oprócz tego na nagrody w wyścigach gentlemańskich i dodatkowych rb. 69,300, ogółem rb. 282,000.

Ustanowiono na rok przyszły w sezonie jesiennym Wielką Warszawską nagrodę rb. 10,000 dla 3-l. i st. og. i kl. wszystkich krajów, należących do właścicieli krajowych, z zachowaniem zastrzeżenia, wyrażonego w uwadze do § 6 Prawideł wyścigowych. Waga na og. 3-l. 137 f., 4-l. i st. 147 f., na kl. 5 f. mniej. Konie zagraniczne bez nadwagi za swe pochodzenie. Konie, które wygrały rb. 12000+5 f., rb. 180000+8 f., rb. 25000+12 f., rb. rb. 40000+15 f., które nie wygrały rb. 6000—5 f., rb. 4000—8 f., jeśli w swej karjerze wyścigowej 3-l. i starszej nie wygrał nagrody wartości rb. 3000. Dystans $2^1/_2$ w. Meldunek w przeddzień wyścigu po rb. 100 od konia. Stawki dołączają się do nagrody. Z całej nagrody I-mu koniowi 74% (w czem dla hodowcy 5%), II-mu 20%, III-mu 6%.

Na członków rzeczywistych zostali wybrani pp. Karol von Seidlitz i Wacław Jełowicki.

Z POLOWAŃ.

Na dwudniowem polowaniu w Białaczewie, gub. radomskiej, Zygmunta hr. Platera, w 8 i 9 strzelb, z naganką, zabito 971 kuropatw, 46 zajęcy i 13 cietrzewi. Najwięcej na rozkładzie miał Władysław hr. Brzozowski z Zabokrzyca na Podolu.

Osiecka grupa członków Warszawskiego Tow. prawidłowego myśliwstwa na pierwszem swojem polowaniu na bażanty, zabiła ich sztuk 108, oraz 11 zajęcy, 8 ficlausów i 2 bekasy.

Z ogarami na lisy polowano 3 dni: w Witosławiu u p. Tertuljana Kaczorowskiego, w Dębnie u hr. Jezierskich i w Bagdadzie u pp. Mieczysławowstwa Chłapowskich w Poznańskiem.

Na polowaniu w d. 18 b. m. w dobrach Mycielin radcy T. K. Z., Doruchowskiego, Inżynier Willibald Meyer zabił kulami dwa dziki.

Do końca bieżącego roku wolno polować na: dziki, łosie (byki), jelenie (rogacze), zające, głuszce, cietrzewie, jarząbki, kwiczoły i kaczki oraz ptactwo przelotne.

JESIENNY KONKURS TENNISOWY.

W parku Agrykola rozegrano jesienny konkurs tennisowy Warsz. Koła Sportowego. Prawidłowemu biegowi konkursu stała na przeszkodzie pogoda zmienna, to też ukończono go później, niż przewidywano.

Rozegrano 4 „konkurencje“ z wynikiem następującym:

I. „Handicap single“ dla panów: 1) p. Jerzy Rotwand (nagroda, ofiarowana przez prezesa Koła, Augusta hr. Poto-

ckiego), 2) p. Edward Kleinadel, dwie trzecie nagrody np. Stanisław Wołowski i Deskur.

II. „Handicap doubles“ dla panów: dwie pierwsze nagrody, ofiarowane przez p. Leona Goldstanda, zdobyła para: pp. St. Wołowski i E. Kleinadel, dwie drugie pp. Skałon (junior) i R. Szulman.

III. „Mixed doubles handicap“: dwie pierwsze nagrody, ofiarowane przez Karola hr. Raczyńskiego, p. Jadwiga Neuman i p. E. Kleinadel.

IV. „Championat“ młodzieży szkolnej: nagroda pierwsza, ofiarowana przez Michała ks. Woronieckiego, p. Deskur, 2) p. J. Drewnowski, dwie trzecie pp. Popowicz i Skotnicki.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Ignacji Piątkowskiej. Bardzo prosimy.

P. Zośce. Oczekujemy niecierpliwie na ciąg dalszy.

Hr. G. Pruszyńskiemu. Serdecznie dziękujemy za pamięć. Odpowiedzieliśmy listownie.

P. M. Waligórskiemu. Żądane cenniki firm rolniczych wysyłamy.

P. Helenie Turskiej. Za adresy i zjednanych prenumeratorów serdeczne „Bóg zapłać“.

P. H. Pin. w Berdyczowie. Odpowiadamy listownie.

P. P. Wężyk w Poznaniu. Serdeczne dzięki. Obszerna odpowiedź listem.

Księgarni Altenberga we Lwowie. Odpowiadamy listem rekomendowanym.

P. I. K. w Wiedniu. Oczekujemy turystyki.

P. Marji Wilczewskiej. Redaktor za wyrazy współczucia przesyła z głębi serca „Bóg zapłać“. № 2 powtórnie wysyłamy. Możemy polecić firmę „Gutkowskiej“, Świętokrzyska 35.

Ks. S. w Rzymie. Pięć zeszytów № 1 w rekomendowanej opasce wysłano d. 23 października.

Hr. P. z Inflant. „Wieś i Dwór“ z dodatkami „Sport“ i „Hodowla“ jest dwutygodnikiem, wychodzi przeto dwa razy miesięcznie. Zwracamy uwagę na adres: Marszałkowska 129. Za śliczne sceny myśliwskie serdecznie dziękujemy.

Hodowcy. Nie pobieramy żadnej specjalnej opłaty, byleby nadsyłany materjał był odpowiedni.

P. Zycie L. w Krakowie. Można abonować i przez księgarnię Gebethnera w Krakowie.

Pp. W. Z., O. M., Karolowi P. Wysłane.

P. Dąbrowskiemu w Chicago. Dziesięć dolarów. Pierwsze dwa zeszyty wysyłamy.

SPROSTOWANIA.

W № 1 „Wsi i Dworu“ w „Wspomnieniach“ p. L. Cywińskiego, zamiast: „rodzina zamieszkiwała w Krakowskiem od lat kilkunastu“, powinno być: od lat kilkuset.

W № 2 w „Wspomnieniach“ p. L. Cywińskiego błędnie pomieszczono nazwisko „Chmielnickiego“, zamiast Chmielińskiego.

W № 2 w wierszu p. J. Ejsmonda, w strofie piątej, powinno być: „abyśmy serca mieli wiecznie młode“.

TREŚĆ ZESZYTU III-go:

OD WYDAWNICTWA.

„WIEŚ i DWÓR“ z dodatkami **„Sport“ i „Hodowla“** wychodzi stale **dwa** razy miesięcznie w początkach i połowie każdego miesiąca przy współudziale licznego grona ziemian i współpracownictwie piór pierwszorzędnych. Każdy zeszyt „Wsi i Dworu“ zawiera parę tysięcy wierszy druku i około **100** ilustracyj i odbitek na papierze kredowanym.

Tak więc Czytelnicy w ciągu roku otrzymają **24** zeszyty wykwintnego wydania, w których, oprócz tekstu, znajdzie się około 2000 ilustracyj z wszystkich dzielnic i ze wszystkich dziedzin wsi naszej.

Specyalne dodatki „Sport“ i „Hodowla“ dadzą w słowie i ilustracyi obraz całokształtu hodowli krajowej i rozwoju życia sportowego.

Warunki prenumeraty „WIEŚ i DWÓR“

łącznie z dodatkami „Sport“ i „Hodowla“:

w Warszawie:	rocznie	rb. 10 kop. —	z przesyłką rocznie	rb. 12 kop. —
	półrocznie	„ 5 „ —	pocztową: półrocznie	„ 6 „ —
	kwartalnie	„ 2 „ 50	kwartalnie	„ 3 „ —

zagranicą: rocznie . . . . rb. 14
półrocznie . . . . „ 7

Cena pojedynczego zeszytu 50 kop., z przesyłką 75 kop.

Prenumeratę na **„Wieś i Dwór“** przyjmują urzędy pocztowe, wszystkie księgarnie i biura w kraju i zagranicą i administracja **„Wsi i Dworu“, Marszałkowska 129, w Warszawie. Telefon 217-41.**

CENY OGŁOSZEŃ:

Przed tekstem:		**Po tekście:**	
1 strona	rb. 120	1 strona	rb. 100
1/2 strony	„ 65	1/2 strony	„ 55
1/4 „	„ 35	1/4 „	„ 30
1/8 „	„ 20	1/8 „	„ 16
1/16 „	„ 10	1/16 „	„ 8

Okładka zewnętrzna tylko w całości 150 rb. Ogłoszenia na specyalnych miejscach o 25% drożej.

Wszelką korespondencyę zarówno zwykłą, jak rekomendowaną lub pieniężną prosimy adresować: **Administracya „WIEŚ i DWÓR“ ul. Marszałkowska 129** (sto dwadzieścia dziewięć) **w Warszawie.**
Dla uniknięcia omyłek prosimy o dokładny adres.

Redaktor: **Kazimierz Laskowski** Wydawca: **Bolesław Schoen**

Klisze i druk Zakł. Graf. A. HURKIEWICZ i S-ka, Warszawa, Marjensztadt 16.

KOBIERCE WSCHODNIE

W sezonie bieżącym na szczególną uwagę zasługuje

SKŁAD KOBIERCÓW WSCHODNICH

wyróżniający się niezrównanym doborem i niezwykle nizkiemi cenami.

Bezpośrednie zakupy osobiste na dalekich rynkach Wschodu, w Persyi, na Kaukazie, w Azyi Środkowej i w Azyi Mniejszej, pozwalają ofiarować piękne te kobierce roboty ręcznej, nadzwyczaj trwałe i nie tracące na wartości w użyciu, — po cenach wyjątkowo przystępnych, mogących współzawodniczyć z naśladownictwami maszynowemi.

Różnorodność deseni i odrębność każdej poszczególnej sztuki, wynikające z wytwórczości domowej dywanów wschodnich, — nie pozwalają na skatalogowanie działu tego, wobec czego Szanowni Odbiorcy zamiejscowi zechcą polegać na wyborze Firmy, gotowej zawsze uwzględnić życzenie ewentualnej wymiany.

CHODNIKI — PORTJERY

BOGUSŁAW HERSE

WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 150.

Papier „O. Miedtke“ (Rpr. tel. № 16-34).

Zakł. Graf. A. Hurkiewicz i S-ka, Warszawa, Marjensztadt 16.